

W roku 1933 zgłosiłem się do 44 pułku strzelców kresowych, stacjonowanego w Równem Wołyńskim, aby w miejscowej podchorążówce odbyć służbę wojskową. Jeden z moich kolegów, lwowianin ormiańskiego pochodzenia, powiada mi któregoś dnia, że ma w Równem dalekiego krewnego, który pisuje wiersze i, dowiedziawszy się o moim pobycie w podchorążówce, bardzo mnie chce poznać. Tak doszło do kontaktu z młodym ówczesnie poetą, Janem Śpiewakiem. Właściwie był to literacki pseudonim, syn nieco zmienił nazwisko. Swego czasu przejrzałem wspomnienia Jana Śpiewaka, pt. „Przyjaźnie i animozje”, wydane jeszcze za życia pisarza, zmarłego w roku 1965. Był on chyba rok, albo dwa ode mnie starszy, więc należy uznać ten zgon za o wiele przedwczesny.

Potem książkę odłożyłem i dopiero po kilkunastu latach przeczytałem dokładnie. Jan Śpiewak! Komu na emigracji nazwisko coś mówi?! Czytając książkę, bez trudu wyłowiłem wszystkie błędy i niekonsekwencje, od których ten tekst się roi. Wystarczą tytułem przykładu dwa fragmenty. Oto one: „Pewnego dnia – pisał Śpiewak – matka wspominała, że córka znajomych pisze wiersze. Jest w 7 klasie. Zaciekała mnie ta znajomość... W 1934 r. poznałem w Równem Zuzannę Ginczanę (str. 190)”. Nie, bo ja poznałem dziewczynę za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w jesieni 1933 roku.

A w ostatnim rozdziale książki rozmowa ze Stanisławem Piętakiem. „Kiedy i gdzie poznaliśmy się?”. „Poznaliśmy się wczesną jesienią 1934 w Warszawie na ulicy. Szedłem z Zuzanną i Józkiem Łobodowskim, był to róg Mazowieckiej i Traugutta, południe, Zuzanna szła w stronę uniwersytetu...”. „Podziwiam twoją pamięć – zachwycił się Śpiewak – jak plastycznie przypominasz minione czasy. Idźmy dalej śladami wspomnień!” „Byłem wtedy – Piętał dalej snuje swoją bajkę – po wydaniu drugiego mego tomu, *Legendy dnia i nocy*, chorowałem, mieszkałem na Radnej 10, razem z Domińskim...” (str. 431).

I wszystko odbyło się zupełnie inaczej. Uważny czytelnik już miał okazję do stwierdzenia, że daty kłócą się ze sobą. Jeżeli Ginczanka była w roku 1934 uczennicą siódmej klasy w Równem, to nie mogła wczesną jesienią tego roku studiować na uniwersytecie warszawskim. Obydwaj rozmówcy pomylili daty. Ginczanę poznałem (powtarzam) za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w roku 1933, zimowała w siódmej klasie (jakieś kłopoty z matematyką), maturę zrobiła w 1935, lato spędziła nad Bałtykiem, we wrześniu przeniosła się do Warszawy.

Z powodów, o których poniżej, zainteresował mnie w książce Śpiewaka głównie obszerny rozdział (pięćdziesiąt stron), poświęcony właśnie Ginczance, pod tytułem „Zuzanna, gawęda tragiczna”. I tu także mnóstwo niedokładności. Z książki wynika, że Piętał już wczesną jesienią 1934 roku był po drugim tomie poezji, „Legendy dnia i nocy”. W rzeczywistości debiutował dopiero w roku 1935 „Alfabetem oczu”. Wiem coś o tym, bo ja mu wydałem ten pierwszy tom w założonej przeze mnie „Bibliotece Dźwigarów”. Najpierw, jako numer pierwszy poszła moja „Rozmowa z Ojczyzną”, a jako numer drugi – „Alfabet oczu”. Daty łatwe do sprawdzenia.

Widywałem się w tamtym czasie z Ginczanką dość często, w lutym 1934 nastąpiła kilkumiesięczna przerwa. Pod koniec roku pojechałem wraz z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim do Równego na wieczór autorski (Józef Czechowicz był również

zaproszony, ale dostał nagłej grypy i nie pojechał). Po wieczorze spędziłem kilka godzin w towarzystwie Zuzanny. A w roku 1935 przybyła, jako się rzekło, na studia do Warszawy. Otworzył się nowy rozdział. Krótki, ale intensywny.

Myląc zasadnicze daty, Śpiewak zapamiętał jednak to i owo, „Zaznajomiłem Józka z Zuzanną – wspomina – odtąd rozdawał się, często przepadał u niej na górze. O czym rozmawiał z Giną godzinami? Myślałem, że kocha się w niej...” Rzeczywiście – o c z y m? Ech, nie żyjący Jasiu! O czym dwudziestocześcioletni poeta może rozmawiać ze wspaniałą szesnastoletnią dziewczyną, której podobają się jego wiersze? Od czasu do czasu z dołu dolatywał niezadowolony głos babci, która Zuzannę wychowywała. Nie znała dostatecznie dobrze języka polskiego i rozmawiała z wnuczką wyłącznie po rosyjsku. „Sanoczka, kto ciebie?”, albo „Sanoczka, czto ty tak dołgo rozgawariwajesz z etim sołdatom?”. „Babuszka – odpowiadała zazwyczaj Zuzanna – my wiediom litieraturnyj razgawor”. Kiedyś stara przyłapała mnie w korytarzu. Podniosła pince-nez w złotej oprawie, obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. Uprzedzając ewentualną indagację, zapewniłem energicznie: „Madam ja wied, wlublion w Sanoczku tolko płatoniczeski!” (zakochany platonicznie). Babcia uśmiechnęła się z widoczną ironią, „Isz jewo! Nam charaszo izwiestno pra eti płatoniczeskija lubwi. (Znamy się na tych platonicznych miłościach!)”. Sana śmiała się wesoło. W nagrodę otrzymałem podwójną porcję pocałunków. Ale nie tyle ile bym chciał. „Śmierdzisz koszarami i żołdackim juchtem”. W Warszawie, gdy byłem już w cywilu i babci nie było już w pobliżu, wyglądało to trochę inaczej.

Z niektórych wspomnień wynika, że Zuzanna miała po przyjeździe do Warszawy trudne początki literackie. Nonsens! Jechała do stolicy dobrze pewna siebie. Od przeszło dwóch lat prowadziła korespondencję z Julianem Tuwimem. Był znany z tego, że lubił protegować młodych, początkujących poetów. A tu szesnastoletnia dziewczyna, jeszcze sztubacka z dalekiego wołyńskiego miasta, urodzona w roku rewolucji w Kijowie. Jeszcze na wiosnę 1933 roku Zuzanna posłała Tuwimowi kilka swoich poetyckich pierwocin, między innymi wiersz „Szesnastolatki”. Ten wiersz nigdy nie ukazał się w druku, nie chciała mi, mimo usilnych prób, dać go do przeczytania. Tuwim zachował się dyskretnie i też nikomu go nie pokazał. Ale nie trudno było domyślać się o co w nim chodziło. Zuzanna bardzo wcześnie dojrzała. Gdy ją poznałem późną jesienią 1933-go roku, była już kobietą, wprawdzie młodziutką, ale w pełnym rozkwicie pysznej, egzotycznej urody. Wiedząc, że rozczytuje się w „Pieśni nad Pieśniami” Salomona (jednemu z późniejszych wierszy dała tytuł „Canticum canticorum”), z miejsca nazwałem ją Sulamitką (Szulammit), co się Sanie niezmiernie spodobało.

Po przyjeździe do Warszawy nie musiała szukać dróg, by dostać się do „Wiadomości Literackich” i odnowionego na wiosnę 1935-go roku „Skamandra”. Protekcja Tuwima w zupełności wystarczała. Dla Grydzewskiego każde słowo autora „Biblii Cygańskiej” było święte. Skoro Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima, już miała drzwi do redakcji przy ulicy Złotej szeroko otwarte. Stąd opowieść Tadeusza Wittlina („Ostatnia Cyganeria”) o wizycie Sany u Grydzewskiego wydała mi się od razu malowniczą fantazją. Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima i to załatwiło właściwie wszystko. Nie tylko u Grydzewskiego. Pierwszy i, niestety ostatni tom wierszy Ginczanki Pt. „O centaurach”, wyszedł w roku 1936 u Przeworskiego. Było to wydawnictwo niesłychanie ekskluzywne i wydanie w nim tomiku nikomu dotychczas

nieznanej, dziewiętnastoletniej debutantki, do tego w luksusowej szacie graficznej, było ewenementem wręcz wyjątkowym. Także i tu zadziałała ręka Tuwima.

Zastanawiałem się, jaki właściwie jest jego stosunek do Sany. Widywano ich stale w „Małej Ziemiańskiej”. Gdy jakiś impertynent zapytał Zuzannę: „Czy pani jest kochanką Tuwima?”, ta odparła spokojnie: „Za wysokie progi na moje nogi”. Ale czy to była tylko opieka ojcowska starszego o dwadzieścia kilka lat, od dawna sławnego poety, czy coś więcej, trudno dociec. Że nie była jego kochanką – to pewne. Zdarzyło się któregoś wieczora, że pewien początkujący pisarz, po dobrze zakropionej kolacji, powiedział do Zuzanny: „Pani jest warta nocy!”. Nie przypadło mi to do gustu, więc ostro zareplikowałem: „Jest pan w grubym błędzie. Zuzanna jest warta nie jednej, lecz tysiąca i jednej nocy!”. Tamten chciał coś odpowiedzieć, ale Tuwim, który był przy tym obecny, śmiejąc się, zwrócił mu uwagę: „Panie, po tym, co pan usłyszał od Łobodowskiego, pozostaje panu tylko jedna opcja – natychmiast wyjść!” Winowajca posłusznie wyszedł. Zuzanna była zachwycona.

Bardzo szybko stała się znana i popularna w całej literacko-artystycznej Warszawie. Miała ogromne powodzenie. Nic dziwnego. Wspaniałe torsi, biodra godne dłuta starogreckiego rzeźbiarza, świetne nogi. Do tego przedziwne oczy, mieniące się, jak morska woda na słońcu, sensualny wykrój ust, ciężki węzeł kruczonych włosów na karku. Nie mogła się nie podobać. Któregoś dnia poznał ją, za pośrednictwem tegoż Tuwima znakomity poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk.

Wpadł do redakcji „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” niezwykle podniecony. „Macie – zawołał – nową, doskonałą poetkę!”. Małaniuk natychmiast wtajemniczył Zuzannę w swoją teorię o kobietach. Uważał, że istnieją dwa podstawowe prototypy: Salome (albo Carmen) i Beatrycze (albo homerowska Nauzykaa). Reszta się nie liczy. Zuzanna bardzo się tą teorią przejęła, ale gdy ją zapytałem, do którego typu można ją samą zaliczyć, nie mogła się zdecydować. „No, pewnie – tryumfowałem – bo ani do jednego, ani do drugiego nie pasujesz! Ta teoria to jeszcze jedna malownicza fanaberia pana Eugeniusza. Możesz czuć się dumną, zrobiłaś na nim duże wrażenie!”.

Niejednokrotnie chciała, żebym ją wziął na dancing. Nigdy do tego nie doszło – nie chciałem. Była mego wzrostu, a na wysokich obcasach, w których się lubowała, znacznie wyższa. Jako się rzekło, miała wielkie powodzenie, co przyjmowała z łaskawym uśmiechem, jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Przez pewien czas zalecał się do niej Leon Pasternak. Wyglądało to dość zabawnie. Mały, krępy, niższy od niej o głowę, do tego z czaszką ogoloną na zero, niczym wzorowy funkcjonariusz GPU, nie miał najmniejszych szans. Ponadto Sana nie lubiła jego wierszy. Zemścił się w bardzo brzydki sposób, mianowicie, zamieścił w „Szpilekach” paszkwilancki wiersz, gdzie było coś o tym, że Zuzanna wyjdzie w końcu za aptekarza, który będzie zawijał proszki i pigułki w kartki, wrywane z jej tomu wierszy „O centaurach”.

Pasternak Pasternakiem – wiadomo, ale dlaczego redakcja „Szpilek” zamieściła ten wiersz? Logiczną odpowiedź miałem tylko jedną: wszyscy po kolei dostawali kosza od pięknej panny. Stąd zbiorowa zemsta. Jeden Andrzej Nowicki (zmarł przed kilkoma miesiącami) cieszył się przez pewien czas jej łaskami, ale chyba do niczego między nimi nie doszło. Co do mnie, przestałem się liczyć od marca 1938 roku, gdy Zuzanna dowiedziała się o zawartym przeze mnie małżeństwie. Pewnego dnia Pasternak i Lec

uciekali przede mną cały Murdziel (Muranów), ale to było z zupełnie innego powodu, jeszcze nie chodziło o Zuzannę. Po ogłoszeniu owego brzydkiego pamfletu, który Zuzannę dość boleśnie dotknął, Leon Pasternak starannie mnie unikał, dowiedziawszy się od wspólnych znajomych, że mam zamiar, mówiąc po warszawsku z knajacka, „spuścić mu manto”, względnie „pokazać kształt adwokacki”. A pamiętał, że od czasu do czasu uprawiam boks (naturalnie po amatorsku), więc groźby nie lekceważył.

Sanie bardzo się podobał mój tom, „Rozmowy z Ojczyzną”, natomiast skrytykowała dość ostro tom następny, „Demonom nocy” (odznaczony w roku 1937 „Nagrodą Młodych” Polskiej Akademii Literatury), oraz inne, późniejsze wiersze drukowane przeważnie w „Skamandrze”. Zacytuję urywki, które najbardziej przypadły jej do gustu, przede wszystkim poszczególne zwrotki z „Poematu barbarzyńskiego”. „Czerwonej mojej tarczy nie ugryzie krzemienisty grot,/ mam siłę nosorożca i szparkość strusia,/ głowami zabitych wrogów mego domu pyszni się płot/ i nie ma takiego wodza, przed którym paść w piasek bym musiał./ A oto leżę wśród liści i nie ma szczęścia w mej pysze,/ krążę myślami nad wioską – nad stadem nie głodny sęp.../ Głowę księżycy strumień w srebrnych ramionach kołysze,/ lampart leniwie się otarł o ciszę/ drzemiących kęp...”

O najbliższej rodzinie Zuzanny wiedziałem niewiele. Tyle, że ojca straciła, gdy była dzieckiem, matka po jakimś czasie wyszła za mąż po raz drugi, co zostało przyjęte bardzo źle przez krewnych zmarłego, tym bardziej, że chodziło o małżeństwo z goimem, czeskim browarnikiem z Wołynia. Wkrótce wyjechała z mężem z Polski, zawędrowali aż do Hiszpanii. Najpierw Kordoba, potem Pamplona. W dalszym ciągu opowiem, jak nawiązałem z nią listowny kontakt. Mniej więcej w tym samym czasie przeczytałem o wielkim dziwaku i fantaście, którego w Kijowie przed rewolucją nazywano „baronem”. Baron Ginzburg! Był artystycznym cyganem z natury, mecenasem poetów, malarzy i w ogóle artystów. Miewał okresami duże pieniądze, szybko je tracił, równie szybko bogacił się w niewytłumaczalny dla otoczenia sposób. Przyjaźnił się z Osipem Mandelsztamem, poetą wielkiej klasy, ale wtedy jeszcze mało znanym (urodził się w Warszawie, ale wychował się w Sankt Petersburgu). Po zestawieniu pewnych faktów i dat doszedłem do wniosku, że ów fantastyczny „baron Ginzburg” był ojcem Zuzanny. Ale uprzednio, za jej życia cała ta sprawa mnie nie interesowała. Sama Sana na tematy rodzinne odzywała się tylko półgębkiem. Tyle, iż wiedziałem, że jej matka jest w Hiszpanii.

Ojciec Ginzburg, a córka Ginczanka? Jeżeli któryś z czytelników jeszcze się nie domyślił, wyjaśniam: Zuzanna przerobiła sobie Gincburżankę na Ginczanę, bo w jej przekonaniu ten pseudonim brzmiał lepiej. Słusznie! Za ojcostwo barona nie ręczę; zbieżność faktów i dat mogła być zwykłym przypadkiem. Niemniej, jestem przekonany, że Zuzanna była córką owego fantasty-utrcjusza i hojnego mecenasa w dniach obfitości. Ale, jak już podkreśliłem, nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. O Gincburgu dowiedziałem się różnych szczegółów z lektur rosyjskich w dobrych kilkanaście lat po tragicznej śmierci Zuzanny.

Po raz ostatni widziałem ją w czerwcu, albo w lipcu 1939 roku. Spotkanie było najzupełniej przypadkowe na warszawskim Nowym Świecie. Nic nas już wtedy nie łączyło oprócz wspomnień, i niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, więc i tym razem rozmowa była krótka. Jakby tknięty przecuciem, zapytałem, jakie ma zamiary

na wypadek wybuchu wojny. Mało kto miał pod tym względem wątpliwości i złudzenia.

Tu mała dygresja. W jesieni zamierzałem wydać dwie książki; jedna miała się ukazać w słynnej poetyckiej serii Morkowicza (warunki już zostały omówione), drugą usiłowałem zainteresować księgarnię Hoesicka. Dyrektor wydawnictwa, popularny Marian Sztajnsberg, wysłuchał mnie, zastanowił się, pocmokał swoim zwyczajem przez dłuższą chwilę... „Wie pan, panie Łobodowski, ja tę książkę chętnie wydaję, ale musimy troszkę poczekać, powiedzmy do 1 września. Jeżeli do tego czasu wojna nie wybuchnie, to już jej aż do następnej wiosny nie będzie. Hitler jest wariat, ale nie taki głupi, żeby zaczynać wojnę późną jesienią. To niech pan do mnie wróci 1 września. Wtedy pogadamy!” A więc biedny „Marianek” (tak go powszechnie nazywano w warszawskich kołach literackich i teatralnych; był żonaty z wybitną aktorką, Mieczysławą Ćwiklińską) przewidział dokładnie datę wybuchu. Co się z nim stało, nie wiem. Wojny nie przeżył, a więc z całą pewnością zamordowali go hitlerowscy barbarzyńcy.

Rozmowa ta zbiegła się mniej więcej z moim spotkaniem z Saną. Odpowiedziała na moje pytanie, że zamierza wrócić do Równego i przeczekać wojnę przy boku babci. A ja bez namysłu: „Radzę ci wyjechać do Hiszpanii. Wojna domowa już się skończyła. Odszukasz matkę, pomoże ci urządzić się...”. Roześmiała się. „Nie, ja już wolę zostać z babcią!”. Gdyby posłuchała mojej rady, żyłaby zapewne po dziś dzień. Do Francji, przykucniętej za linią Magionta (na propagandowym papierze – niezdobytą), a po klęsce podzielonej na dwie zony, wiadomości o krewnych i znajomych, pozostałych w kraju, przychodziły rzadko i przeważnie bardzo mętne. Ze wspomnień Śpiewaka wynika, że wojna zastała Zuzannę w Równem, potem przeniosła się do Lwowa. Dowiedziałem się, że jeździła do Moskwy, przekładała Majakowskiego, co było nieporozumieniem, bo trudno o bardziej przeciwstawne formacje psychiczne. Według Śpiewaka wyszła za mąż „za znacznie od niej starszego krytyka”. Nazwiska tego krytyka nie podał. Ale powtarzam, co napisałem uprzednio: wspomnienia Śpiewaka są bardzo bałamutne. Kiedy i w jakich okolicznościach zginęła Zuzanna?

Kiedy w nieistniejących już londyńskich „Wiadomościach” ukazało się moje obszerne wspomnienie o Ginczance, oraz jeden z wierszy jej poświęconych, otrzymałem list od kogoś, kto ją w tamtych lwowskich czasach dobrze znał i z nią obcował. W liście było sporo nieznanymi mi szczegółów, częściowo pokrywających się z „Tragiczną gawędą” Śpiewaka. „Przez pewien czas – ukrywała się we Lwowie... przyjaciele pomogli jej wyjechać do Krakowa, wystarali się dla niej o dokumenty ormiańskie... Katastrofa przysłała nagle. Wydała ją gospodyni, u której mieszkała. Tyle lat żyła nadzieją, aż do ostatniego dnia, do egzekucji. Ostatnim zachowanym wierszem Ginczanki jest utwór pod tytułem „Non omnis moriar”... Została rozstrzelana na dziedzińcu więziennym, tuż przed wyzwoleniem miasta”. Kto inny mnie informował, że podczas krótkiego śledztwa zachowała się bardzo dzielnie i nikogo nie wydała. Miała w chwili zgonu 27 lat.

Jeżeli przed wyzwoleniem Krakowa, to znaczy, że przeżyła pod okupacją hitlerowską grubo ponad trzy lata i zginęła na początku roku 1945. Ale wspomniany wiersz datowany jest w roku 1942 i napisała go (podobno) w więzieniu. Cóż znaczą te dwa wiersze: „Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla, donosicielko chyża, matko folksdojczera...”? Wynikałoby z tego, że Zuzanna została zamordowana we Lwowie, a

nie w Krakowie, zaś cytowany wiersz powstał tuż przed śmiercią, albo też data jest niewłaściwa. Śpiewak tej oczywistej sprzeczności nie wyjaśnił, więc w dalszym ciągu nie wiem, która data jest właściwa. Ów lwowski świadek, autor wspomnianego listu, twierdzący kategorycznie, że Zuzanna zginęła tuż przed odejściem Niemców z Polski, także nie bardzo wie, co zrobić z datą tego przedśmiertnego wiersza. Sprawa jest zatem otwarta.

Wiersze Ginczanki – i te zawarte w tomiku „O centaurach” i te inne, drukowane albo nie, które dała mi do przeczytania – były zmysłowe, potrącające o biologię, niejednokrotnie nurzające się w sensualizmie, wypełnione przeczuciami prawdziwej miłości. Ot, choćby ta zwrotka z „Canticum canticorum”; „Zaklinam was panny w wonnościach,/ przez sarny w kniei,/ przez łanię nagłą, jak zamach:/ nie szukajcie za wcześniej miłości, nie budźcie jej,/ pokąd do was nie przyjdzie sama”. W Warszawie nigdy nie brakowało jej adoratorów. Lubiła się nimi otaczać, zrażała ich, odchodzili, wracali. Zawsze podejrzewałem, że nawet zbliżenia fizycznego nie traktowała zbyt serio, czekała cierpliwie na miłość, która ją pochłonie bez reszty, która „przyjdzie sama”. Czy przyszła?

Na wiosnę 1939 roku ukazał się w „Wiadomościach Literackich” znamieny, choć artystycznie dość słaby wiersz Ginczanki, w którym powtarzał się refren: „Jakaż to wiosna? Miłosna. Jakaż to wiosna? Wojenna.” Mało kto wiedział, kim był szczęśliwy bohater wojenno-miłosnej wiosny. Dowiedziałem się o tym od niego samego, gdyśmy się po wielu latach spotkali i poznali w Londynie. Nie żyje, ale nie jestem upoważniony, by podać jego nazwisko. Przez jakiś czas prowadził z nią korespondencję z Budapesztu, gdzie przebywał po klęsce wrześniowej. Ton listów Zuzanny z okupowanego przez bolszewików Lwowa stawał się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej minorowy, atmosfera, wytworzona w mieście, najwidoczniej napawała ją wstrętem, choć początkowo brała udział w różnych oficjalnych aktach, jak złożenie wieńców przed pomnikiem Adama Mickiewicza i Iwana Franko, czemu sowieckie władze okupacyjne nadały wyraźny polityczny charakter. Ale to było jeszcze przed aresztowaniem Broniewskiego i Czuchnowskiego. Zrodziła się inicjatywa, by Zuzannę przerzucić na Węgry, przez „zieloną granicę”, ale z nieznanych mi powodów spaliła na panewce.

Ponieważ w ostatnich paru latach Ginczanka dość intensywnie współpracowała nie tylko z „Wiadomościami Literackimi” i wskrzeszonym „Skafandrem”, ale także z mocno lewicowymi „Szpilkami” posądzano ją o określoną pozycję polityczną. Nic dalszego od rzeczywistości! Sana była pod względem politycznym całkowicie aseptyczna, mimo, że rosnący antysemityzm przerażał ją i budził w niej wstręt. Ale, gdy przyjechała do Warszawy i pokazano jej „Czarny Łą” za „Żelazną bramą”, wpadła w przerażenie. „To ma być mój naród?!” Żydzi na wschodnim Wołyniu nie używali średniowiecznego ubioru i nie nosili pejsów. Byli to przeważnie litwacy, jak i cała rodzina Zuzanny. Kulturalnie czuła się Polką, sprawy różnorodności rasowej dla niej nie istniały. W gimnazjum rówieńskim jej żydowskie pochodzenie nie było brane pod uwagę, z antysemityzmem zetknęła się po raz pierwszy dopiero w Warszawie. Środowisko, w którym przebywała, łagodziło te sprawy. W j i d y s z nie znała ani jednego słowa. Religijnie była obojętna, ale rozczytywała się z satysfakcją w mistycznych dramatach Słowackiego. Ale, jak już to powiedziałem, jej ulubioną lekturą była „Pieśń nad pieśniami” Salomona. Gdy wybuchła wojna, była w pełni

kobiecej urody - miała dwadzieścia dwa lata. Gdyby pozostała podczas pierwszej okupacji sowieckiej w Równem, zginęłaby razem ze swoją starą babcią w masakrze Żydów wołyńskich w Zdołbunowie. W dużym mieście łatwiej było się ukrywać. Pomysł z ormiańskimi papierami był znakomity - Zuzanna miała typ egzotyczny i południowy, mogła bez pudła udawać lwowską Ormiankę. Po co ją wyprawiono do Krakowa, gdzie Ormian nie było, nie mam najmniejszego pojęcia.

Zdarzyło się, że w latach sześćdziesiątych drukowałem w londyńskich „Wiadomościach” wiersz p.t. „Pamięci Sulamity”, poświęcony pamięci Zuzanny Ginczanki. Jeden z młodych studentów polskich pojechał w okresie świątecznych wakacji do Pamplony i po powrocie opowiada mi, że poznał tam małżeństwo z Polski; on, piwowar z Wołynia, spolszczony Czech, żona, zdaje się Żydówka. Zapytała go, czy coś wie o poetce, Zuzannie Ginczance, której jest ciotką. Wydało mi się dziwne, że ciotka, ale poinformowałem chłopaka o losach Zuzanny i dałem mu odpis wiersza. Po jakichś dziesięciu dniach otrzymuję małą poleconą paczuszkę z Pamplony. Tekturowe pudełko, w nim drugie, mniejsze, następnie trzecie, jeszcze mniejsze. Co u diabła! - myślę - jakieś kpiny, czy kawał? Ale w trzecim pudełeczku mała flaszeczka, a w niej w kawałku waty złota szpilka do krawata z diamencikami. Szpilka przebija małą karteczkę z napisem „Od matki Zuzanny”. Opisałem tę historię w czasopiśmie hiszpańskim, „Polonia”, wydawanym w owym czasie przez Polski Czerwony Krzyż w Madrycie. Takie były późne echa mojej znajomości z Zuzanną-„Sulamitą”.

W ostatnich latach przedwojennych Zuzanna była stałym gościem przy stoliku Witolda Gombrowicza w Warszawskim „Zodiaku”. Czego tam szukała, daremnie dziś pytać. Co wieczora siadywał tam Stanisław Piętaś, „owczarz”, jak go w celnej recenzji z „Jasia Konefała” nazwał Jarosław Iwaszkiewicz. Sentymentalny Piętaszek podkochiwał się wtedy w Ginczance, wierząc, że to będzie jedyna prawdziwa miłość w jego życiu. Opisał z entuzjazmem owe wieczory w swoich wspomnieniach. Królem przy stoliku był, naturalnie, Gombrowicz, reszta stanowiła rodzaj dworu. „Ginczanka - pisał Piętaś - była pierwszą damą, ja - paziem”. Gombrowicz lubił otaczać się ludźmi, wpatrzonymi w niego z bezkrytycznym uwielbieniem; wyobrażam sobie, że o to samo chodziło Zuzannie, która przy tym ekskluzywnym stoliku była jedyną piękną kobietą. Inne się przy niej nie liczyły. Intelktualnie nie mogła wiele skorzystać, Gombrowicz chciał jedynie oddychać kadzidłami na jej część.

Czy rosną jakieś kwiaty na bezimiennym grobie Zuzanny, rozstrzelanej tylko dlatego, że należała do rasy hebrajskiej? Nie uczyniono dla niej, dla jej młodości, urody i poezji żadnego wyjątku. Niekiedy zastanawiam się, o czym mógł myśleć, jeżeli w ogóle myśleć był w stanie, ów germański knecht, gdy wpakował kilka kul z rozpylacza w piękne ciało Zuzanny? Czy była dla niego tylko Żydówką, którą z racji jej pochodzenia należało zlikwidować, czy żywym człowiekiem, którego jedyną winą była rasa, skazana na zgubę? Czy jej morderca żyje jeszcze i czy zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił? Zuzanna Ginczanka - „tragiczna gawęda”, jak wspomnienie o niej określił także już nie żyjący Jan Śpiewak! Więc oto kilkanaście wierszy, spisanych o niej w różnych okresach, a zawsze tak, jak gdyby żyła i miała znowu zapytać, niczym przed przeszło czterdziestu laty: „Słuchaj, ty, zdaje się, chcesz mnie uwieść...”

Nie pasaż swych stad na górach Galaadu,
nie biegałaś pod namioty Kedaru.
Nie widziano twoich drobnych śladów
Wśród winnic znojnego Engaddi.
Nie witali cię pasterze śniadzi,
kiedyś szła przez Heseboński parów,
Aleś była jako szafran i cynamon
i jak trzcina w rytmie biodr i ramion,
I cieszyła się wołyńska cisza wiejska,
ku słowiańskim unosząc cię pannom,
czarnowłosa przyjaciółko hebrajska,
och, Szulammit, Szulammit,
och Zuzanno!

A przechodziłaś światem, od miłości chora,
snopek mirry pod piersiami niosąc.

I miłości zjednywałaś, smagła mandragora —
brzuch twój z nardu, a uda twe — mosiądz.

Jako sarnie bliźnięta, pasące się pod miastem,
spoglądało młodych piersi dwoje;

wargi twe w pocałunkach — ciężki miodu plaster,
miód i mleko pod językiem twoim.

I palmą izraelską wyrosłaś swobodnie,
w owocowe rozdziwiłaś się grona,

I jak palma się gięłaś, gdy krzepki ogrodnik
na pniu smukłym zaplatał ramiona.

A łono twoje było jak wezbrany księżyc,
podcieniony wonnymi fiołkami.

Lecz nie masz cię w Libanie i wróg cię zwyciężył,
och, Szulammit, Szulammit, och, Szulammit!

Płaczcie córki jerozolimskie,
rwijcie szaty nad Sulamitą.
Urąganiem i pośmiewiskiem
jej urodę martwą okryto.
Wyszedł z czeluści piekielnych wojownik zelżywy,
stratował róże Saronu, wyciął oliwy,
nurt Hebronu zmącił krwią,

dym pożaru wzniecił nad miastem,
rzucił ciało panny zabitej, szydząc i drwiąc,
między druty,
między druty kolczaste.

Zaszedł za chmurę księżyc fiołkowego łona,
wyszło źródło miodu i mleka.

Ziemia ogniem przepala bezwładne ramiona,
proch i pleśń na przymkniętych powiekach.

Usta oślepty, ogłuchł wzrok, a to jest
jakby wieża się zwała Dawidowa.

Krew na wargach — nie mirra, popiół — nie aloes,
gniją w piachu najpieściwsze słowa.

I gruzem zasypano sadzawki w Hesebonie,
ukamienowano lilię padolną.

Przebity ostrą włócznią twe usta i dłonie
i obudzić cię młodzieńcom już nie wolno.

Płaczcie córki jerozolimskie,
rzućcie wiatrom krzyk żałobnych ramion.
W ciężkiej glinie, pod czarnym urwiskiem
mirra, szafran, nard i cynamon.
W dzień pogański, w złe, przeklęte rano
rozrzucono bróg zboża, winnicę zdeptano,
porąbano siekierami
cedr, heban i sandał.

Lecz uroda zamordowanej
z przerażonej ziemi wystrzela:
to w wołyńskich dzikich trojandach
ciemna krew,
ciemna krew Izraela.

I.

Tańczcie panny jerozolimskie,
chylcie się w pokłonie przed Sulamitą!
Wychwalajcie jej owoce wszystkie
ich smak szacowny i soczystą znakomitość.
Oto stoi pod gwiazd wiekuistym błyskiem,
cała podana ku zmierzchom i świtom;
było pięknych panien i mężatek wiele —
żadna
nie wyszła się nad nią w Izraelu!

Urodziła się daleko od Libanu, nie kąpała się nigdy w Hebronie...
Teraz się, śmiertelniku zachwycony, zastanów,
gdy całujesz jej usta i dłonie,
czy nie będzie zbyt górna dla twojego stanu
i jakim się słowem przed tą miłością wybronisz,
jeśli wcześniej, lub później prawda się wyda
że byłaby godna
wejść do łóżnicy samego króla Dawida.

Tańczcie, panny jerozolimskie!
Wychwalajcie Sulamitę zawstydzoną;
Nikt nie zdobył jej bogactwem, ani nazwiskiem;
tylko tego dopuściła ku smagłym ramionom,
który „Pieśń nad Pieśniami” w polskiej mowie jej czytał
i w wołyńskie wieczory upalne
obejmował — wicher daktylową palmę,
gdy powietrze — gorejąca okowita.

Czemu cię nazwano Zuzanną?
Lepiej byłoby: Judytą, Miriam albo Deborą...
To nie ważne — tańczącym jerozolimskim pannom
i tak twoje imię brzmiało jak ekstatyczny chorał;
Kiedy pod gwiazdą zaranną
mistyczną, błogosławioną porą
urodziłaś się, czyste wody wezbrały w Jordanie,
a wiatr — to już nie był wiatr,
oszalały taniec...

I od owego dnia aż do najnowszych lat
żywiły na kolanach stoją przy Zuzannie!

I ja także — jeszcze jeden przy niej żywił,
Jakże pachniało świeżo skoszone siano!
Przysięgałaś — wszystkie róże w ogrodzie się dziwią —

że na chwilę czas nad nami przystanął,
a ty ciągle masz lat siedemnaście...

Wyprowadza pasterz
kierdel białych owiec w każde srebrne rano,
zapowiada;
— Nad Hebronem się paście!

II.

Ten dytyramb zacząłem pisać jeszcze w Warszawie, nie spieszyłem się,
chciałem by Zuzanny był godzin.
Bom wiedział, że przy niej szarzeją najbarwniejsze pawie
i kwiaty zawstydzone gasną w ogrodzie...
Zazdrościła mi wierszopisów niesforna gawiedź,
aż przeminąłem —
zwykły przechodzień.
Dopiero teraz...

Gdy jej nie ma wśród żywych,
po latach odkąd ją zamordowano...
Jeszcze płaczą cedry Libanu,
polskie wierzby i hiszpańskie oliwy...
Szloch sznuruje krtanie jerozolimskim pannom,
szloch...

I po tylu latach, Zuzanno, przyjmij te słowa nieudane
i ten żal prawdziwy!

III.

Wzgórza izraelskie dźwigają winnice obfite,
pola wołyńskie wzbierają pszenicą i żytem,
Zuzanna czyta z zachwytem
Canticum Cantorum...
Mgły nad Horyniem biją ze srebrnych kadzielnic,
„Pieśń nad Pieśniami" zaraz się spełni
i znoyny Hesebon podejdzie ku mrocznym borom.

Oczy miała w świetle złote, w cieniu — zielonkawo-szare.
Kto poznał wołyńską Sulamitę,
poznawał że nie panną lecz biblijnym mitem,
rozpalonym przez proroków ogniskiem,
w miłości spopielającym pożarem...

Tańczcie, panny jerozolimskie,
lejcie wino w królewską czarę!

W ustach miód i mleko i mięta,
suknie wsparte na ciekawie spoglądających jagniętach,
mirrą i nardem wezbrany bukłak bioder;
uda niewiarygodnym spływające ciało spadem,
słowa z ust wybiegają — rozjarzone i śniade,
by jeszcze mocniej uwydatnić ich urodę.

Tę pochwałę w słońcu rozpalonym kładę,
pijcie ze mną na radość i na zgodę!

Napisałem te zwrotki, Zuzanno,
gdy już jesteś od dawna popiołem...
zamordowana panno,
do twych martwych stóp przypadam czołem.

Nigdy liliom wołyńskim i dziewannom
otrzeć łez nad twym grobem nie zdołam.

Poeci izraelscy, których Jahwe swym palcem naznaczył,
idźcie żałobną gromadą pod Ścianę Płaczu
lamentować nad panny stratowanym życiem!
Jeżeli czułe słowa jeszcze w życiu coś znaczą,
przeczytajcie ten wiersz o Sulamicie.

Bogu, który wywyższa się ponad narody i stany,
błogosławiący wszystkim zakochanym,
On - opiekun naszych serc i nauczyciel...
Poeci izraelscy, którzyście nie poznali Zuzanny
jej urodę wraz ze mną uczcijcie!

1936-1972

Czy widzieliście, jak woda w rzeczonym nurcie zakwita?
Patrzyłem: ramion narcyzy, piersi — lilie i róże...
Biodra, poczęte w brzasku wczesnych świtań,
i oczy pożyczone od najpiękniejszych wrózek.
Usta, które nie chciały zadawać żadnych pytań,
by chwili oczekiwania nie przedłużyć,
aż się jej kwietny ogród
w czarodziejski krajobraz wcieli...

Zuzanna święci ten dzień w porannej kąpieli.

Kto jej uda takim kształtem rozwidlił,
że się oczom śmiertelnym musi bóstwem wydać?
Wynurza się z białych pian, jak z morskich mydlin,
ponownie światu objawiona Wenus Cypryda.
Kiedy wodę roztrąca ruchem złotych bioder.
rzeka się spiętrza, aby mocniej ogarnąć jej urodę,
topole w zielonym ogniu stają,
zdumione obłoki się zniżają,
otaczając ją zachwyconym korowodem.

Iż dopuściła mnie ku swym kwietniom i majom,
rwałem kwiaty, błędząc jej ogrodem.

Ta rzeka przeminęła i nigdy nie powróci,
te obłoki już dawno spłonęły na popiół.
Ale jej głos wciąż słyszę na niezmienionej nucie,
jej wzrok w pożarze czasów się nie stopił.
Wtedy wiedziałem: za chwilę znajdę się w ukropie
rzeki wrzającej, bo gdy tego ciała dotknęła
(tak rzeźbiarz dotyka marmurowego arcydzieła),
musiała się zamienić w gorejącą topiel..

A gdy wchodziła w nurt, pozbyta szat,
byłem, jako schwytyany mocną smyczą wiatr,
co położył się pokornie przy jej stopie.

Zuzanno, z tej rzeki już nie wypłyniesz,
na zawsze w niej utonęły twoje lilie i róże.
Na tej łące, w tamtej dolinie
Nie tylko mnie twój widok urzekł —
drzewa pokrywały się kwiatem,
powietrze się nasycalo znojnym aromatem, cichły twym głosem uspokojone
burze,
a obłoki coraz bardziej skrzydlate.

Te misterie twoje ciało sprawiło,
któremiało być skazane na nieustającą miłość,
a skazane zostało na zatrąę.

Dziś mi się znów przyśniło,
co się wóczas zdarzyło,
przed wiekami, nieśmiertelnym latem.

II.

Zuzanno, to nieprawda, że cię zamordowano!
Nadal wychodzisz kąpać się w każde znojne rano, zanurzać w nurcie srebrne
narcyzy i lilie,
zanim rzeka zamieni się w ognisko,
a ja uniosę cię w puszcę wołyńską,
słowikami rozśpiewaną,
i jak szklanicę miodu powoli wychylę...

To nieprawda, co mi o twoim zgonie naopowiadano!
Że żyjesz
pozwól uwierzyć, choć przez jedną chwilę!

A nad Horyniem nadal świętojańskie siano
i księżyc na nowiu grozi, jak zatruty sztylet.

Zuzanno, nieżyjąca panno żydowska,
ten wiersz pod twoje ukamienowane nogi!
Nie żałuj niczego, ani się troskaj...

Zuzanno,
już cię tym wierszem wprowadziłem krainy
do nieśmiertelnej mitologii.

1949-1980

I.

Wiatr upalny w puszczy się rozsrożył
dzikie wrzaski, pijacka czkawka, pobekiwanie...

Mówiono:

— Pewnie z wiedźmą żeni się któryś Bożyc
i odprawiają teraz swój weselny taniec.
Młódko, ty tego nie słuchaj,
zatkaj uszy i zastoń oczy,
bo cię gotów w tę noc zauroczyć
ten, co jest kniazem na Świętych Łopuchach.

Ostrzegała ją matka i sąsiadki:

— Nie chodź kąpać się przy księżycu pełni!
Świątki z lasu wychodzą, to zdarzenie nie rzadkie —
pochwyć cię —
będziesz musiała ich zachcianki spełniać.
Nie posłuchała.

Była biała i różowa, jak trojanda,
czuła się w nocnej wodzie coraz jedwabisciej.
Rozkwitała rezeda na sąsiedzkich lewadach
i szumiały srebrzyście
zgrzane liście.

Usłyszeli Bożyce, jak nurt ją ogarnia,
jak opływa jej uda i drażnięta.
i szeptali:
— Każdy z nas by zmarniał, gdyby się z nią nie zapamiętał.

Uciszyła się gęstwina gwarna,
jeszcze mocniej rozkwitały rezeda i mięta.

Gdy spłoszyła się i zamierzała uciec,
warkocz zaplątał się w komyszach, więc było za późno,
Dobiegało z oddali ciężkich młotów kucie,
płomień runął ku zbudzonym kuźniom,

Rozpłakała się słowiczo na najwyższej nucie,
myśląc
Może się o mnie poróżnią...
Ale nie chcieli, ciężką chucią struci!
Jeno księżyc jej żalów wystuchał,
ale pomóc nie mógł i nie chciał.
Pierwszy Bożyc miał uszy z obwisłego łopucha,
dłuższą chwilę jej trojandę łechtał,

tchem gorącym bezbronne miażdżył usta,
grubym cielskiem jurnie się huśtał,
aż się wszystko młynareczce pomyliło.

Pleban grzmiał: — To pogańska
rozpusta! oni zapewniali, że to miłość.
W taką noc tylko jedna na Wołyniu władza.

Musiała po kolei Bożycom dogadzać,
podkładać posłuszne drażnięta
biodra.

Księżyc zaszedł za chmurę, więc noc czarna, jak sadza,
wiatr ponownie nad nimi się rozpętał,
wrócił księżyc — i noc była znowu srebrna i modra —,
lecz z zazdrości się zczerwieniał i zwiększył,
Wiatr puszczański po raz drugi się rozsrożył,
przeglądał się coraz wierniej w zaczarowanej rzeczce...
Wtedy najmłodszy Bożyc
najjurniejszy
jeszcze raz w jej biodra się wtulił.

Tak Bożyce nieogłędnej młynareczce la,
krwią wezbraną kądziołeczkę popsuli.

II.

To wszystko mi się tylko przyśniło.
Księżyc świecił uśpionej Zuzannie, nie młynareczce,
A jeżeli jej przyśniła się miłość,
To nie dlatego, że ją złe duchy porwały na swe harce,
młoda panna nie panuje nad snami,
Opowiedziałem jej o tym śnie.

— To nieprawda! — Odpowiedziała, śmiejąc się,
Szulammit.
Wymyśliłeś to sobie, bo chciałyś być tym Bożycem.

Jeśli kiedyś tamtą noc w czułe zwrotki uchwycę,
słusznie byłoby, abym później zamilkł
i spokoju zmarłej nie zakłócał.

Póki tchu w doczesnych zostało mi płucach,
muszę nie zabawiać się tą grą niebezpieczną,
bo, zaglądając w tamten niepowrotny Wołyń,
jest tak, jakbym spozierał w wieczność.

Której prochy na wiatrach świętojańskich ukryto,
kijowska czarownico,
Szulammito!

„Pieśń nad Pieśniami” — to najwspanialszy poemat
wszystkich czasów i ludów” — mówiła Zuzanna —,
wspanialszej pieśni erotycznej nie było i nie ma!”

Nad Wołyniem jutrzienka powstawała poranna,
unosilem karabin rękami obiema,
ale nade mną czuwał sierżant, a nie panna,
którą miałem zobaczyć w niedzielę najbliższą...
Kogo do stóp Sulamity dobre losy wywyższą,
ma być równie szczęśliwy, jak ów król Salomon,
gdy ją ujrzał idącą ku judejskim polom,
a jeszcze nie wiedział, jak ją wstawić do
„Canticum Canticorum”...

I nie mógł wiedzieć, iż dobre wróżki pozwolą,
by Sulamita zeszła ku wołyńskim borom.

Nim ugięła się przed Mojry wszechwładną wolą,
czarnoleski był dla niej oporą.

Nie, nie widziała nigdy pasących się nad Hebronem jagniąt,
ani doprowadzała ich do czystego źródła, gdy pragną,
nie poznała ojczystego, hebrajskiego świata...
Gdy budzące się ptaki witają dzień swym świergotem,
zamknęły się na zawsze jej oczy zielono-złote,
powalone twardą pięścią pogańskiego Goliata.

Nie było mnie tam, nie wiedziałem o tym,
że jak owe ptaszęta ku słońcu ulata.

„Pieśń nad Pieśniami”, zaklęta w rytm czarnoleski —
ciężkie dukaty, wydłubywane z poetyckiej kiesi —
jakże jej było nie smakować ich okrągłości?!
Rytm uświęcony przez poetę z Czarnolasu,
połączył się z natchnieniem z najdawniejszych czasów,
tak się ponad wiekami odnawia to samo godło.
Jakbyś tańczyła w butkach z najprzedniejszego atłasu,
ku pięknu, co cię na zawsze uwiodło.

A jednocześnie, jakby spoza świątyni zawiasów
wydostawał się z dymem kadzideł głos kornych modłów.

Przeto, jak ów poeta, co chciał czarnoleskiej rzeczy,
ja także proszę: niechaj mi serce uleczy,
bo kiedy mówię, na sercu coraz to smutniej;

i chciałbym, jak ów w bajce narodzony śpiewak,
o kamienie przydrożne, albo drzewa
na zawsze strzaskać niepotrzebną lutnię.

Niebo ponad Wołyniem chmurami nabrzmiewa,
grzmot się przetoczył w dal i śmieje się wierutnie.

Mówiono mi, żeś się zachowała godnie przed zgonem,
nikogo nie zdradziłaś na swoją obronę
i umarłaś, Zuzanno, w nietkniętym honorze.
I nie wiem, czy to zima śnieżysta, czy jesień,
płakały wszystkie drzewa w polskim Czarnolesie,
że mowa polska uratować cię nie może.

Śliniłeś się z radości, mroczny biesie,
i na jej korzyść żaden trybunał nie orzekł...

A teraz tylko głos w mej krtani rwie się,
i żeś wtedy nie zagrzmiął gromami, hebrajski Boże!

Gdy Goliat zmiotł wszystkie ptaszęta pogańskiej pięści
zamachem,
jakże się miała przed tobą ukorzyć, o, wielki Jahwe,
jaki ze złotych gwiazd zapalić przed tobą kandelabr?
Patrz — już paprocie w puszczech wołyńskich zwiędły,
pajaki pozrywały w nocy, co za dnia uprzedły,
i tchu zabrakło w ryb umierających skrzelach...

Spaliły się w siarce kwiaty z promieniejącej grędy
i nic nie zostało z salomonowego wesela.

Lecz jednocześnie cały świat jest, jak rozwarty Kościół,
który Jan z Czarnolasu wypełnił swych słów wonnością,
aby się cieszył razem z Panem Bogiem każdy człowiek.
Zuzanna nie umarła, w swych wierszach ciągle ożywa,
gdy ja — na głębie wyrzucony pływak —
powierzam własne życie wciąż innej odnowie.

Bo był czas siania, a teraz jest pora żniwa
i u bram Pańskich tłoczą się świadkowie —

I aby stała się nareszcie sprawa sprawiedliwa
chóry anielskie
śpiewają Sulamicie w czarnoleskiej mowie.

Zuzanna czyta „Pieśń nad Pieśniami”
i już się jej przyśniło, że na imię ma Szulammit...
Jeszcze nie wie, kto krew wzburzy w żyłach i tętnach,
ale już zaczyna się do tej myśli przyzwyczajać,
że wkrótce zjawi się na jej kwietniach i majach
ktoś, komu będzie posłuszna i chętna.

A na razie podziwiać się pozwala,
a na razie podpływa — zachwycająca fala —
ku szczęśliwym oczom stu zalotników...
I szykuje się ku tej chwili, od dawna zapowiadanej,
w której położy się dojrzałym łanem,
by doczekać się żniwa w chciwym krzyku.

Zuzanno, Szulamito, strатовana w miłości będziesz,
abyś zmartwychwstała po śmierci w legendzie,
abyś odrodziła się w tych wersach i zwrotkach...
Kto ciebie nie poznał, kto się tobą nie zachwycił,
ujrzy cię, jak ja teraz cię widzę w mych źrenicach,
i twe ślady na wołyńskich ścieżkach napotka.

Znów zrucasz suknie, na znojnych nóg łodygach
biodro podwójne ku słońcu się dźwiga,
a jeszcze wyżej salomonowe jagnięta,
a ponadto wytryski jedwabnych ramion,
które, obejmując, nie kłamią —
taką byłeś i taką żem cię zapamiętał.

Nieustannie rówieńską ulicą przechodzisz,
przystają na twój widok i starzy i młodzi,
w równej mierze połączeni zachwytem...
A ja też w swoją młodość radośnie powracam,
gdzie czeka na me źrenice najwdzięczniejsza praca —
smakować twe ogrody, jakże znakomite!

Kiedy na Świętego Jana twoje ciało
złotym ogniem ku ustom wybuchało,
wtedy stałaś się bez żadnego powodu,
Ale to było nie wczoraj, ani przedwczoraj,
ani żadnego urocznego wieczora —
przed wiekami, bezpowrotnie, za młodu.

Tamtej chwili z powrotem nie wołaj,
dawno zwiędła w głębi spustoszonego ogrodu.

Jeżeli słońce do nich zstąpiło, zdawały się złote,
Jeśli zaszło, odbijała się wołyńska zieleń,
Teraz, gdy ołów sięgnął ku jej ścięgom i żyłom,
złoto i zieleń stopiły się w zimnym popiele.
To, co było skazane na miłość,
nawiedziła burza, ogarnęła błyskawicą i grzmotem,
to, co się wróżyło,
nigdy się nie ziściło,
opanowane zbrodniczym kołowrotem.

Taki ci wyrok los zwycięski wyniósł,
żaden czarownik takich wyroków nie zmienia.
Gdyś spojrzał w nie z bliska, tonąłeś w zielonym Horyniu,
albo, gdy słońce wzeszło, stawałeś w płomieniach.
Tonącemu swej ręki nie podałaś,
stojącemu w płomieniach pozwalając spłonąć
i gdyś na widok zguby nie truchlała,
a w źrenicach oczy miałaś złote, czy zielone,
zawsze na wargach uwodzący uśmiech,
jak gdybyś chciała zawołać: „Wypuście
ku tym gwiazdom, w przepastną nieskończoność!”

Gwiazda zapaliła się i mruga tajemniczo —
może to ty z zaświata swój sygnał podajesz?
Tamta burza już przeszła nad krajem,
groby pomordowanych nie wykrzyczą
tego bólu, co w nich dotąd pozostał,
twojej mogiły nie odszukać, nie znaleźć...!
Jeżeli ogień w kominku rozpale,
może znów, jak na poleskich rojstach
wejdą oczy twe w ognia interwale...

Więc powrotnie na zmyślonych mostach
będę tęsknić za spóźnionym żalem.

Rozstrzelane złoto, ścięta zieleń,
oczy, przysypane zimnym popiołem
i te słowa, te słowa — tak niewiele —
co wykrztusić z krtani ledwie zdołam;
znowu zjawiasz się po latach czterdziestu,
niczym echo, które jest jak cień miłosnego krzyku,
jak ten wieczór wpośród leśnych zmierzchów,
jak poranek oszalałych słowików.

Nie zostało z ciebie nic, prócz gestu,

który postać twą w pamięci mej wykuł.

Żal zamienił się w nierozumną tęsknotę,
jeszcze śnią się po nocach do tej pory
oczy, pod słońcem jasno-złote,
o zachodzie zielone, niczym leśny Horyń;
krążą nieśmiertelne gwiazdozbiory,
patrzą z góry na wołyńskie bory,
ku ramionom twym i szesnastoletnim biodrom...

Czyjeś słowa, jak zdyszany wiatru poryw,
w niebie zielono, złociście i modro.

Jakież to były siły niespożyte,
co się zebrały przy twojej kołysce w Kijowie?
Z wrózkami bajecznymi jaki natchniony architekt
pochylił się nad tobą w tajemniczej zмовie?
Usługiwali mu duszkwie wdzięczni
i urosłaś, sama o tym nie wiedząc chyba — odpowiedz —
żeś się stała niczym budownictwa podręcznik.

Pewnieś zeszła wzdłuż łuku tysiąc barwnej tęczy
i unosili cię niebiescy ptakowie.

Nogi do kolan — średniowieczny
gotyk, powyżej, aż ku biodrom — barok,
a nad barokiem spóźniony renesans...
I na ramionach czarnych włosów sploty,
chmura na architektonicznych kresach,
W oczach zielono, złociście i szaro;
poruszała się tak, jak gdyby stopy jej dotyk
bał się zapaść pod ziemię, gdy ją z lekka muśnie...

I dlatego musiała stać się Belzebuba ofiarą,
nim pochłonięty go piekła czeluście.

Nadciągnął wróg — w nienawiści wściekłej zawzięty,
wygrazając głupią pięścią świętym niebiosom,
trzęsienie ziemi pogrzyżyło fundamenty,
drzewa zapłakały krwawą rosą —
pamiętasz? — jakeś szła przez tamtą łąkę boso,
rozsiewając wokół siebie woń rezedy i mięty,
cała podana ku tajemniczemu głosom,
które cię nawoływały zza tamtej rzeki,
a tyś nie chciała słuchać, bo ci tu najlepiej było;
a teraz już jesteś wspomnieniem dalekim,
które się zamieniła niedojrzała miłość.

Popili się bogowie przedtem trzeźwi,
skonał z ciężkiego żalu natchniony architekt,
nikt już więcej takiego posągu nie wyrzeźbi;
zamienił się w truciznę rzeźwiący napitek,
słysząc zewsząd śpiewy niesamowite,
rozsypały się w miazgi gruz gotyk, renesans i barok;
zaraza płynie ku niebronionym obszarom,
każda muzyczna nuta kończy się szarpiącym zgrzytem...

Jakże się teraz o godną twego zgonu pieśń wystaram,

gdy pourywały się z kampanii dzwony srebrólite.

I co mam opowiedzieć ludziom ciężko chorym,
do których siostra Thanatos już swoje kroki zbliża?
Ułatwić im spotkanie słowami Świętego Jana od Krzyża,
gdy chrzcił w natchnieniu C a n t i c u m C a n t i c o r u m?

Niechaj nadleci jaskółczycha chyża,
co wtedy gniazda lepila pod wołyńską polepą!
Odejdźcie, widma! Nie wpatrujcie się ślepą
powieką! Niech odpłynę ku odległym gwiazdozbiorom,
niech mnie uniesie ptasich skrzydeł trzepot,
nie pozwólcie nawiedzać mnie nocnym potworom!

Czas zatrzymał się, potem coraz bardziej się zniża,
cofa się, cofnął się ku zamierzchłym borom.

I takem się nareszcie z latami uporał,
żem się w oczach przemienił i zwinnie odmłodził,
to, co było przed wiekiem, wydało się — wczoraj...
Takiej architekturze powinien brzmieć chorał
niebiański i zachwyty swoje zwiększać co dnia;
a nim się dzień ku krwawej wojnie schylił,
wszyscyśmy razem z tobą szczęściem się popili,
a ty byłaś — na wiatrach rozwiana pochodnia.

Napisałaś tamtej wiosny ostatniej,
że to „wiosna wojenna”,
że to „Wiosna miłosna”,
nie podejrzewając, że już wróg nastawił na cię matnię,
że to już ostatnia w twoim szczęściu wiosna,
Zuzanno, czy pamiętałaś tamte pogodne rano,
gdym cię spotkał na ulicy w słonecznej Warszawie,
pytając: „Co uczynisz jeżeli wojna wybuchnie?”
Nie wyglądałaś na zakłopotaną,
spoglądałaś z ufnością ku twojej przyszłej sprawie,
nie myślałaś o skrwawionym próchnie.

Ziemia potoczyła się ku najdalszym sferom,
łuna stanęła na spokojnych głuszach,
ukrył się w drzewnej dziupli przelękniony Eros,
gdy dzikie zwierzęta rozszarpały Orfeusza...

Zamordowana cnota, pogwałcona szczerość,
nawet śpiew wargi do grymasu zmusza.

Okryły się żałobą wołyńskie Fauny i Syleny,
że najpiękniejszą z wszystkich trojand zdeptano i zmięto
nigdy nie przyszedł dzień bezcenny,
w którym miano sprawować weselne święto;
próżno usta nacierały rozmarynem i miętą,
i kwiaty upinały radosnym dziewczętom —
grom uderzył, diabelski rozpętał się mętnik,
wszystkie kwietne wieńce z rozpaczy zwiędły,
gdy cię wyszpiegowano i ujęto.

Przyszła najokrutniejsza z wszystkich wojen,
przyniosła zgubę nieogłędnym Eurydykom,
czyś mogła wyjść z miłością i spokojem
naprzeciw tłuszczy oszalałym krzykiem...?
Nie stratowały cię centaury legendarne,
spędzone dźwięczne słowa ku myśliwskim wnykom,
najczulsze twoje rytmy przepadły na marne,
nawet nie wywyższone żałobną muzyką...

Nie ma róż, ni marmurów ku mogile twojej,
ledwie ją wiernym ramieniem ogarnę!

Po miłosnej wiosnie — wojenna jesień,
zbójceją klepsydrą zatrzaśnięta młodość...
Dziki chmiel na tyczkach w górę pnie się,

zmierzch zstępuje ku rozlanym wodom...

Jeśliś ich nie przebłagała swą urodą,
to już chyba było tak, że złośliwy szatan
czujnie sieci swoje wiązał i uplatał,
boś nie zechciała iść za nim ku czarcim przygodom.

Już bogowie nieśmiertelni w tryumfie cię wiodą,
gdy odchodzisz z cielesnego świata.

Jakże mam cię uwięzić w klatce metafor,
z jakiej burzy poczętym otoczyć cię słowem?
Cóż wymyślić? Że twe biodra to szafot,
na którym mam lekkomyślnie stracić swą głowę?

Poeci już obrabowali cały świat z barw i melodii,
trudno wysławić się od nich urodziwiej,
Ale pragnąłbym ten madrygał tak odmłodzić,
abyś się dała choć na chwilę nim zadziwić.

Abyś się dała mym wierszem zaskoczyć
I byłagodniej spoczęły
nim twe prześwietlone oczy.

Jesteś morzem wzburzonym, w którym pragnąłbym
burzyć czułe wiosła;
jesteś rzeką, od której wymagałbym,
by mnie na wyspę kwiecistą zaniosiła,-
jesteś chmurą, którą prosiłbym,
żeby mnie przemoczyła nie do nitki, do samych kości;
jesteś łąnią, za którą — myśliwy niechybny —
w daremny wypuszczam się pościg.

Jesteś morzem i rzeką i chmurą,
jesteś łąnią — tętnią za tobą centaury rozhukane...
Jesteś niepokorną żrebicą, którą
mam pochwycić i okiełznać arkanem.

Ale, gdy się nie gniewasz i spozierasz uśmiechnięta,
jesteś jak bandaż na otwartą ranę.

Gdy się przeciągasz, jesteś, jak libijska lwica,
gdy złość cię chwyta, toś pochodnia gorejąca;
gdy zrywasz kwiaty, każdy twymi dłońmi się zachwyca;
gdy marszczysz brwi, słońce w przepaść strącasz.

Światłem twych oczu syci się północna okolica,
bywasz wtedy młodszą siostrą miesiąca
Jesteś jak dwa sprzeczne wichry, grzejesz i ziębisz;
piersi twoje — wyzwanie dla czułych gołębic,
biodra — kuszę, z niej śmiertelne groty.
Ramię — smyczek na srebrnych strunach;
gdy powieki podnosisz, w niebo bije łuna,
każde słowo — rozżarzony do białości erotyk.

I bardziej gorejący od pioruna
rąk twych — choć to lilie bezbronne —
każdy dotyk.

Poddaję się — nie ma godnych twej urody metafor,
więc spętajcie mnie
i prowadźcie na szafot.

1934-1977

Nim się ten wiersz nad twym grobem bezimiennym rozmodlił,
pozwól wziąć w dłonie garść nieznanego popiołu,
Znów na ciebie donieść gotowi ludzie zazwyczaj podli,
nikt z tych zjadaczy chleba nie robi Aniołów.

Miałaś rację w przedzgonnym wierszu ostatnim, i
który do adresatów właściwych nie dotarł...
Nie było nikogo, kto by cię wydobył z czarnej matni
i było dotknięcie śmierci, jak najczulsza pieszczota.

To sobie, żywy, na zawsze w pamięci zatnij —
choćbyś był bym najbliższy, to i tak bym do ciebie nie dotarł.

A uprzedzałem: — „Wyjedź do swej matki do Hiszpanii...!”
Śmiałaś się. — „Na czas wojny do babci pojedę...”
Babcię zamordowano w Zdołbunowie, zanim
zdołałaś do niej dotrzeć...

Zgniłym jadem
karmiono cię, podstępными łgarstwami
ciebie, coś chciała iść centaurów śladem.

I zostawiono cię — powiedz, że kłamię —
na zgubę, jakże wczesną, na zagładę.

Jako ów Jan Apostoł na greckiej wysepce Pathmos,
dokąd go zesłał wyrok bluźnierców i wszetecznic,
do czytelników mową zwracał się niełatwą,
by chwałę Pana przed ludem uwiecznić,
tak by mi należało gniewem sprawiedliwym
unieść się, który jestem nadal żywy
i dożywam dni swoich w spokoju bezpiecznym...

Ile wiedziałem, co z tobą, ani kto cię
wyda na śmierć i jak i kiedy...
Mnie także zachód krwią zgęstniałą ociekł,
zanim mogłem wyzwolić się z śmiertelnej biedy,
Nie uprzedziła żadna z pięknych wrózek,
że nie przedostaniesz się przez wichry i burze,
zgonu nie zwiastowały Kupały paprocie.

Nie uratowały cię Pieśni Salomona,
nie osłaniały cię wojowników pawęże;
który miał być dniem wyzwolenia przedwcześnie skonał,
ustąpili Anieli przed przewrotnym Wężem...

Ten, co ku niebu wznosił swe ufne ramiona,
nie wiedział, że przed świtem porannym poleże.
I taka była śmierć radosnej Amazonce
sądzona przed zamilkłym nagle słońcem
i taki kres centaurom, co chciały zwyciężyć.

I tak ten wiersz, mający być wygodnym siodłem,
składałam u twoich stóp zamiast pobożnych modłów,
jako żałosny uśmiech ku twym martwym licom.
Nad twą młodością, ku ziemi wdeptaną,
niech będzie jako bandaż nad krwawiącą raną,
zanim fale Acherontu także i mnie pochwycą...

Ukamienowana przez pogan męczennico!

SULAMITA MÓWI:

Jestem rzeką na piachu rozgrzanym,
ujmij mnie w brzegi swych ramion!
Choć dotąd nikt mi nie dał wiekuistej rany,
moje oczy i usta nie kłamią.

Jestem kwiat i cała stoję w kwiatach,
a te codziennie proszą się spod moich sukien...
Jeżeli wiesz, jak je w wieńce uplatać,
zerwij mnie i wdzięczny ułóż bukiet.

Czyś ogrodnik, żeś mnie z dawna urzekł?
Patrz: krew wzbiera w mych płatkach i pędach!
Oto lilie, oto nardy, oto róże —
a odwiedza mnie tylko pszczoła—przybłęda.

Spalam się w gorejącej purpurze,
wiednę bez ratunku na samotnych grzędach.

O północy zamieniam się w czarownicę,
słucham, jak tętnią zbliżających się centaurów kopyta.
Strzeż się, jeśli cię znienacka uchwycą,
wtedy mnie o łaskę nie pytaj!

Jak słonecznik ku tobie obracam się licem,
tylko dla ciebie, na twoją cześć zakwitam.

Kiedy biegłam nad przepaścią ścieżką stromą,
spoglądając z tęsknotą ku niedostępnym szczytom,
podpatrzył mnie z ukradka król Salomon
ucieszył się i nazwał Sulamitą.

Chwytam wiatry izraelskie wargą łakomą,
słońce przeze mnie przecieka, jak przez sito.

Nie urodziłam się w bajecznym Jeruzalem,
lecz pochylił się nad moją kołyską czarodziejski Kijów,
Dlatego mi smakuje rozmaj—ziele i szalej,
dlatego jestem na tym świecie niczyją.

Kiedy zasypiam, słyszę, jak się zuchwale
diabły i czarownik! o mą urodę biją.

Ale nic z tego, bo nie są mnie godni,
nie dla nich układam misternie swych włosów pukle.
Tylko ty jesteś upatrzony ogrodnik,

więc zerwij mnie i wdzięczny bukiet upleć!

Skąd się w wołyńskiej głuszy zjawili centaury,
czy przysłał ich poetce bajeczny król Minos?
Przycwalaowały, czekając na laury,
podstawiały grzbiety, żaden jej nie ominął.

Podobała się centaurom kwiecista łąka
i dosiadająca ich młoda Amazonka,
taki jej poetycki debiut był przyczyną.
Jam się także w tym minojskim stadzie zabłąkał
i piłem z jej ust najprzedniejsze wino.

Czemu cię centaury na czas przed zgonem nie uniosły
na swych mitologicznych grzbietach?
Nie było ani jednego, gdyś na żałobnych wiosłach
oparła dłonie i porwała cię zła Leta
i zatopiała.
A powódź wciąż dalej rosła
i widziałaś jak wszystko żywe strąca
na głębie — nienawistna i nienawidząca,
jak rozwścieczona w szaleństwie kobieta.

Lecz ówczesnie centaury były oswojone,
chadzały bez sprzeciwu nad wołyńskie źródła,
pławiły się w Horyniu i Stochodzie...
I kładły się posłusznie na rozgrzaną trawę,
aby słuchać — potulne i łaskawe —
jak pastuch na swej fletni gra coraz to słodziej...

Myślałaś, że przedłużysz tę zabawę,
gdy siądziemy też jej słuchać przy sytnym miodzie.

Chmielne szyszki zwisały w chatynce u pował,
a ja się głupio cieszył i znowum smakował
twoje usta, zachwycony przy takiej urodzie.

Wschodził półksiężyc, z ciągliwego wity srebra,
a ja byłem przy tobie, jak natrętny żebrak,
oczekujący twej hojnej jałmużny.

A tyś się śmiała, mówiąc: — „To srebrna podkowa,
którą dla najpiękniejszego centaura chowam.
Możesz go podkuć, jeśli zechcesz być usłużny”.

Nie odrzekłem nic, zabrakło mi słowa,
po dziś dzień tamtej usługi jestem dłużny.

Centaury przecwalały. Idę ich śladem.
Odgaduję, któredy mknęły ich kopyta.
Gwiazdy ponad Wołyniem są mgliste i blade.
Dlaczego jest im tak smutno — nie pytaj.

Te zwrotki na grób bezimienny kładę,
noc od Wołynia odchodzi.

Już znowu świta.

I po czterdziestu latach pamiętam,
jakie w ustach twych były miód, mirra i mięta,
nimeś się pod kulami zbrodnictwami stłukła;
zmarły pasące się na łące jagnięta
i usechł winem wypełniony biódr twych bukłak.

Nie wiem, jaki był twój ze śmiercią układ
i jaki zabrzmiał na niebie komentarz.

Na czyich ramionach byłoby twym prochom żyźniej,
gdy rozpostarła się nad tobą cisza wiekuista,
jakich-że innych oczekiwała zmartwychwstań,
jak nie w czarnoleskiej polszczyźnie?

Tylko tyle iż ostatecznie przyjęła cię przystań,
już nie cierpisz, choć twe ciało — blizna na bliźnie.

Całe czterdzieści lat! A ciągle jesteś młoda,
jakby to były naszej przyjaźni lata najpierwsze ...
Pamiętasz? — zatrzymałaś się wtedy na schodach,
to nie ja — zatrzymałem cię ostatnim wierszem.

Krzyknęłaś — chciałem ci pomocną rękę podać,
a to znowu nie ja — to zabłąkany szerszeń.

Aż cię pogryzły śmiertelne szerszenie,
przeciw truciźnie ich nie znałaś antidotum...
Już jesteś cieniem i ja wkrótce będę cieniem,
wtedy spotkamy się z powrotem.

Czterdzieści lat! I ciągle to samo wzruszenie,
nim świat zakręcił się szalonym kołowrotem.

Mroczna noc nad niespełnionym marzeniem,
gwiazdy świecą — obojętne i złote.

Najłagodniej, jak potrafiłem, i najczulej
starłem się wyznać, com czuł, przed leśnym Panem,
a gwiazdy przetaczały się w niebios szkatule,
może pijane, a może tylko zziębnięte.

Gwiazdy wiedziały, że nie mogłem nie ulec,
choć uroda ziemską łatwo staje się łachmanem.

Jak tu zabierać głos po tylu latach,
odkąd cię nawiedziła śmiertelna zatrać....?
Jak się odgrodzić od niesamowitych wspomnień?
Ciągłe wędrowałem od więzienia do więzienia,
tylko ich regulamin wciąż dla mnie się zmieniał,
więc wieść żałobna o twym zgonie późno przyszła do mnie.

Sulamito, po twym jakże wdzięcznym imieniu
Tylko sen został, powtarzany nieprzytomnie.

Zuzanno, Sulamito nowoczesna,
od tylu lat widuję cię jedynie tylko we snach —
przychodzisz do mnie, znów szesnastoletnia...
Nie było żadnej wojny, ni jej zbrodni,
znowu wszyscy są młodzi, wszyscy są urodni,
i tak się każdy sen tobą uświeta,
jakby cię nie porwała śmierć, zbyt wczesna,
jak gdyby nadal brzmiała słów twych fletnia...

Już nigdy nie powrócę nad ówczesny Horyń,
rozwiały się na zawsze tamte wołyńskie wieczory,
gdy księżyc na przednówku świecił, jak szczęścia podkowa,
Tamten księżyc nie wszędzie więcej, ani, ani...
Także jego przebito morderczymi pociskami,
zakneblowano mu usta, zamordowano słowa...

Nigdy już więcej nie pozostaniemy sami,
by „Pieśń nad Pieśniami” smakować od nowa.

Ale twoje centaury nadal pędzą cwałem nie po to, by
pochwalić twe wdzięki doskonałe,
które przed tysiącem lat król Salomon oglądał...
Ja także, choć nie byłem legendarnym królem,
oglądałem je najłagodniej i najczulej,
a ostałyby się na najostrzejszych sądach.

To wspomnienie raz jeszcze w mych rękach utulę,

niech prawda biegnie po najdalszych łądach.

Cóż z tego przyjść ci może, gdyś dawno popiołem?
Ale raz jeszcze niech cię z nicości wywołam,
abyś ponownie po tylu latach rozkwitła.

To nic, że Charon na tamtą stronę cię przeniósł,
gdy znowu wstajesz żywa w mym czułym wspomnieniu
i już wygrana jest ta ostateczna bitwa!

Gdybyś wstała, niepamiętna swego zgonu,
nie zobaczyłabyś na żadnym skraju nieboskłonu
tych gwiazd, które świeciły ci przed laty —
może to lepiej, że cię nie ma wpośród żywych,
gdy w lasach, miast paproci, panoszą się zatrute pokrzywy
i nie ma dokąd ujść przed ramieniem zatruty...

Skruszały niegdyś czynne na łukach cięciwy,
a chorym do ust dają jad, a nie wijatyk.

Opuścił nas bezbronnych Stwórca Sprawiedliwy,
próżno ręce wyciągać, wszędzie w oknach kraty.

Samaś mi się przyznała, gdym całował twe usta,
żeś urodziła się w Kijowie.

I do tego z hebrajskich rodziców.

W Kijowie trwała niegdyś chozarska rozpusta
i koczowniczych ludów posłowie
wróżyli przy magicznym księżycu...

Urodziłaś się w Kijowie — pamiętaj!

Stepowe perekoty—pole i rozmaj—ziele i mięta
połączyły się przy twoich urodzinach
i jak w babilońskich sakramentach
w takim rozgwarze misterium świętojańskie się zaczyna.

Bo kiedy wiatr pontyjski nowonarodzoną natarł
i z rąk wrózek zbliżyła się do twej kołyski
mleczna i miodna obiata,
jakżem mógł wiedzieć, że po tylu latach
będę tym czarom tak bliski?

I czy do tych mitologicznych zabaw
dołączył się cień daleki góry Moaba,
by cię natrzeć, łagodnym, śródziemnomorskim powiewem?
I kto ci był za patronkę? Czy rozpustna Lilith,
czy też wolałaś wybrać w tej uroczej chwili
matkę ludzi śmiertelnych, orędowniczkę Ewę?

Komu cię rodzice kijowscy poświęcili,
domyślam się jedynie, lecz z pewnością nie wiem.

Samaś mi powiedziała, żeś jest Kijowianka...
Kijowianki, jak słyszałem, każdego ranka
wypatrują, kogo za dnia przypadnie zaczarować.
Mądry wilku z bajki o carewiczu,
ciemnych czarów mi więcej nie wyliczaj,
lepiej mnie do Żar-Ptaka od razu doprowadź!

Gdyby mi pokazała się z niesamowitego oblicza,
powiedz — jakie na jej przemoc są najwłaściwsze słowa!

Nie powróciła do rodzinnego Kijowa,
bo tam się czarna magia przed zbrodniarzem chowa,
jakże go wygrzyźć tyrlicz-trawą i płakunem?

Nie pozwoli się przepędzić nietutejszym Babilonem,
ani zaklęciem, ani prawosławnym dzwonem,
chyba, że twoje oczy rozjarzą się w najjaśniejszą łunę...

I wszystko jest zatrzymane, wszystko nieporuszone,
aż obudzi się pod niezapowiedzianym piorunem.

A wtedy — nawiedzony niespodziewanym zgonem —
rzekręcę się na wznak i trupem runę.

Cwałują stepem kozackie, umarłe sotnie.
W twoim Kijowie byliśmy trzykrotnie,
Chrobry król zabawiał się z piękną Jarosławną...
Twoi umarli, pokonani, w Psalmach,
przechodzili kolejno przez portyk Trajana,
ale tego nie pamiętasz, bo to było zbyt dawno.

Gdybym cię z historii pytał, byłabyś zakłopotana,
nnych spraw zachwycała cię zabawność.

Byłem i ja w Kijowie, miałem lat trzynaście,
jeszcze mi się nie śniły wojenne przepaście,
Tyś wtedy zdmuchiwała świeczkę życia piątą;
aczął wkrótce wiersze czytać chętnie,
choć jeszcze żaden centaur nie zatętnił
ku tobie z nieznanego greckiego kąta.

Lata moje najpierwsze, w wspomnieniach się paście!
Jeszcze się wtedy szatan przy nas nie zakrzętnął.

I była złota jesień na Wołyniu,
gdy mi wróźebny ptak wieść o tobie przyniósł
przy wtórce natchnionej Kantyczki Salomona.
A potem żeśmy ją wzajem recytowali
i było wino, i miód dostały, i szalej,
nim ptak, trafiony grotem śmierci, konał.

Podczaszy, więcej trunku chmielnego mi nalej,
tylko w tym mi od wspomnień żalosnych obrona.

Nie, nie byłaś Zuzanno, czarownicą!
Gdybyś nią była, umknęłabyś swoim katom.
Teraz wszystkim poetyckim wszechnicom
masz prawo świecić w oczy niezawinioną zatrata.

Żyję, chociaż odszedłem ku najdalszym granicom,
a na Wołyniu teraz rozszalałe lata.

Dla pięknej panny. Dla zamordowanej,
bo była hebrajskiego pochodzenia,
ten wiersz, skarżący się przed Sprawiedliwym Panem,
który głosił, iż nie ma Greczyna, ni Żyda...
Żaden zbrodniczy czyn tego wyroku nie zmienia
i nikomu się łaska wybaczeń nie przyda.

Pod twoje, kulami strатовane nogi
znowu nadbiegają z odległej mitologii
centaury szybkim i młodzieńczym stadem.
Urodziły się przed lat tysiącami na minejskiej Krecie
i nagie się przywidziały wołyńskiej poetce,
spodobały się, iż były niepodległe i śniade.

Więc ich tętent, którego już nie ma na świecie
wraz z moim wierszem do stóp twoich kładę.

Pochylałem się ku jej śniadym licom
i trwożyłem się:
— A jeśli naprawdę jest czarownicą?

Bo niby skąd zwykła dziewczyna mogłaby
w każdym szczególe urody tak się udać,
żeby mieć takie, jak ona, biodra i uda —
zwyczajne ziemskie panny takim wdziękiem się nie szczycą.

Więc chyba to prawda, że jest czarownicą!

Jedną z tych, co trujące zioła ważą w kotłach,
co ulatują przez komin na miotłach,
jedną z tych, co napastowały biednego Makbeta...

A ona —
gdy księżyc w pełni na drzewach się huśtał,
dyszała mi gorąco w same usta:
— Cóż znowu? —
jestem najzwyczajniejsza kobieta!

A jednak całkiem przekonany być nie chciałem,
choć z oczu jej patrzyła prawda oczywista —
podejrzenie rodziło się z tego głównie,
że urodziła się w Kijowie,
a pamiętacie, co baśń mówiła o krasnej sotnikównie
co na młodych seminarzystach
lubiła po nocach cwałować...?

Nie próbowałem na siłę,
a ona, przerywając mi na półsłowie,
spierała się: — W tym rzecz, że to ty lubisz cwałować,
a ja umiem nie czarować, ale miłować!

Więc musiałem uwierzyć, bo to była szczerą mowa.

II.

Pomyślałem, że jest nie wiedźmą, lecz Żar-Ptakiem.
Żar-Ptak był uwięziony w klatce złotej,
carewicz wybrał się do niego w zaloty —
dobrze znał się na magicznych znakach,
przez spotkanego wilka wyuczony...

Ten wilk był czarownikiem, dobre rady dawał
carewiczowi spodobała się niebezpieczna zabawa,

ale ciągle się mylił, chciał nie tylko Żar-Ptaka,
także konia ze złotą grzywą
i najpiękniejszej na świecie żony...

Zuzanna знаła tę bajkę i twierdziła,
że wszystko w niej było nieprawdziwe.

Jakąż trzeba zapłacić cenę
za Żar-Ptaka, za rumaka złotą grzywę
i za Przepiękną Helenę?

Więc znów się śmiała: — Głupi carewiczu,
wszystko zostało ci dane,
posiadłeś za darmo wszystkie bajeczne dziwa!
Jestem Żar-Ptakiem, rumakiem nieokiełznanym
i Przepiękną Heleną,
choć innego imienia używam.

Była w miłości równie sprawna, jak sprawiedliwa.
Ta baśń, choć dawno umarła, ciągle tkwi w sercu!

Żar-Ptaka dosięgły złe kule bezmyślnych morderców,
koń ze złotą grzywą pasie się na niebiańskiej łące,
jedynie rytmy, od wspomnień ciągle gorące,
pozostały po Przepięknej Helenie...

I wszystko razem:
Żar-Ptak, Helena, konia złota grzywa —
coraz to się odzywa
w śpiewnych słów ożałobionym trenie.

Dalej, Muzo, po wertepach mnie prowadź!
Żem tej bajki nie potrafił uratować,
niespokojne trwoży się sumienie.

Sulamita usnęła we wnętrzu, wykładanym hebanem,
śnie winnice Engaddi. pod potężnym Panem...
Nadejdzie dzień i będzie z nich plon znakomity,
pochwałę go radośnie, bom nigdy nie kłamał.
Słońce już pada na Betaru szczyty,
lilie Saronu pną się po okiennych ramach...

Córki jerozolimskie, nie budźcie ze snu Sulamity,
póki nie zechce obudzić się sama...

Suknie już zdjęła, jakże znów je wdzieje?
Stopy umyła i pyta: „Jakże je zabrudzę?”
Porzuć, niebaczny, wszelką dnia tego nadzieję,
nie szukaj wiosny w jesiennej szarudze...
Gdy wiatr z południa ponownie powieje
i kozłeta gazeli znów będą bawić się przy strudze,
obudzi się Zuzanna i źrenice złote
rozewrze, by ogarnąć świat, niczym pieszczotę...

A mnie, jak najwierniejszemu słudze,
przywidział się sprzed tysiącleci najczulszy erotyk.

Żadnych błyskotek jej urodzie nie brak,
zausznice złociste z kulkami z srebra;
jest śniada, ale piękna, niczym namioty Kedaru,
a jej szyja jest jako wieża Dawidowa.
Wśród chłodu zimy, jako słońce pełne żaru,
a w lecie palmą, która w swym cieniu wędrowca chowa...
Jest jako ogród zapieczętowany, niczym magiczny parów,
jako pałac wspaniały od fundamentów do pował.

Chór: Nim szczyty Gileadu cień nocy uchwycą,
niech zacznie się rozmowa z najwdzięczniejszą oblubienicą.

Oblubieniec: Oczarowałaś serce moje ócz swych balsamem,
miłością swoją, ileż słodsza od najprzedniejszego wina.
W ramiona twoje wchodzę, jak w Bet-Rabbimu bramę,
a tam się radość najwyższa zaczyna..”

Nie wiem już, czy to jest wiosna, czy też zima,
bom się zagubił w tej miłości na amen.

Oblubienica: Oto jest moje pragnienie jedyne,
abym mogła wejść do jego sali biesiadnej.
Posilcie mnie plackami ze słodkich rodzynek,

bo chora jestem i miłości pragnę.
Pod głową moją lewa jego ręka,
a gdy przy łożu moim posłusznie przykłęka,
wraz z nim, ku jego szczęściu w zachwyceniu płynę,
gdzie mnie uniosą jego ramiona wszechwładne...

I jestem, jako łódka, skierowana na głębię,
jak trzcina, co się chwieje, posłuszna, nad bagnem.
Otworzę mu, ilekroć do mojej izby zapuka,
aby mnie, już zbudzoną, najłagodniej pozdrowił.
Od wieczora w mym łożu starannie go szukam,
by znowu usnąć z nim głowa przy głowie.
Nieświadomi, czyli to jest miłowania nauka,
trzepocą się przy oknie zazdrośni ptakowie.

Czy nieogłędnie myśli mych nie zbrukam,
jeśli zapomnę o tobie, odpowiedz?!

Oblubieniec: Piękna jesteś i wdzięczna, jako Jeruzalem,
odwróć od mnie oczy twoje, bo mnie niepokoją!
Pukle twoich kędziorów wiją się wspaniale,
wdzięki twe są orężem i mocarną zbroją;
zęby twe, jako stado owiec, wychodzących z kąpieli,
gołąbką jesteś, moja nieskalana!
Każdy z nas, którzyśmy cię dziś z rana widzieli,
winien by paść natychmiast na kolana...

Tęskniłem za tobą i widziałem cię w bieli —
i przeto serce mam w śmiertelnych ranach.

Chór: Kogo twój wzrok bezlitośnie ustrzelił,
stracony jest, o, Sulamitko niezrównana!

Oblubieniec: Twój głos jest w swoim brzmieniu
najwspanialszym psalmem, a ty jesteś, jako palma wysmukła.
Pragnąłbym wspiąć się na twą wybujałą palmę
i winem twych pocałunków wypełnić mój wyschnięty bukłak,
zapachem rajskich jabłek będzie warg twych tchnienie...
Jestem, jak knot w oliwie. Abym zajął się płomieniem,
wystarczy dłoni twojej wyczulony dotyk...

Tyś jest jutrzenką, a ja twoim cieniem,
natchnieniem jesteś uskrzydłych zwrotek.

Jakże piękne twe stopy w obcisłych sandałach,
brzuch twój jest brogiem pszenicznego ziarna,
górami Karmelu ponad ludźmi wybujałaś
i jesteś winem korzennym ciężarna.

Niech łańcuchem przepaszą mnie wzdłuż mego ciała
i przymuszają obracać młynarzowe żarna,
a i tak się wyzwolę, byle byś zechciała
wejść w moje stado — jeszcze jedna sarna.
By zachwyciła się dolina cała,
żem cię nareszcie w dłoniach mych ogarnął.

Oblubienica: Wczesnym świtaniem, jutrzeńkową porą
pospieszmy pochopnie do otwartych winnic,
by sprawdzić, czy już zakwitła winorośl,
z której wytoczyć moszcz żeśmy powinni;
tam cię nakarmię wonną mandragorą,
byśmy w miłości stali się bardziej uczynni.

Pójdź do mnie — lękam się, by mnie potworom
nie zaprzędano w złej edumejskiej pustyni.

Oblubieniec: Nie lękaj się, przepiękna Sulamito!
Otom jest, abym ciebie przed trwogą obronił.
Przez oczy twoje, jak przez najwdzięczniejsze sito,
przecieka słońce, zanim się w ich cieniu schroni;
libańskimi liliami są płatki twych dłoni,
w których najwyższe szczęście przede mną ukryto...

Pozwól przysłuchać się twego głosu harmonii,
pozwól mi spojrzeć w toń twych oczu złotolitą.

Nim wiatr wieczorny powieje z południa
i nim nadmiernie wydłużą się cienie,
nim orzeźwi się woda w Cheszebonu studniach,
i nim mniejsze się staje tve czułe spojrzenie...
Gdy niebo złotymi gwiazdami się zaludnia
i na zachodzie staje się coraz zieleniej,
młodzieniec, który cały dzień się zatrudniał,
przychodzi, aby przy niej zniszczyć swe znużenie.

Chór: Nim minie żar wczesnego popołudnia,
o wieczornej godzinie znów będzie jej jeniec.

Oblubienica: Wyznałam — jakże szczerze! — iż jestem bez grzechu,
aby nie szukał winy we mnie ten zazdrośnik!
Teraz odwiedzę ogród dojrzałych orzechów,
by zobaczyć, czy granat już kwieściście rośnie...
I znalazłam się nagle wśród miłych uśmiechów
licznych dworzan w orszaku, co przybył radośnie.
Przypatrywali mi się pilnie i łakomie,
oświadczając, iż jestem, jak Jehowy płomień.

Otom jest miastem, które otworzyło swoje bramy,

aby przyjąć na zawsze mojego ukochanego.
Piersi moje są w nim obronnymi basztami,
które murów fortecnych nieustannie strzegą.
Tam się z mym oblubieńcem bezpiecznie kochamy,
podpływając, jak łódzie ku kwiecistym brzegom.
Byłam bezpieczna i nie wołałam: „Poratuj” —
bom się poczuła, jako rozwijający się pęk granatu.
Synogarlicy wdzięczny śpiew już słyszeć
w opanowanej przez wiosnę krainie.

Drzewo figowe spokojnie oddycha
i do sadzawek w Cheszebonie bystry potok płynie.
Otom jest jako gołębica licha,
co się ukryła w przepastnej głębinie,
* on mnie szuka w ukrytych szczelinach
i że wnet nie odnalazł, już wątpić zaczyna.

Oblubieniec: Gdzieżeś ukryła się, oblubienico?!
Zejdź z wierzchołka Seniru i Hermonu...
Gdy me ramiona wreszcie cię uchwycą,
miłować się będziemy do samego zgonu...

Oblubienica: Przybliź się, ukochany, ku mym licom,
zleć złotą gwiazdą z mrocznej nocy nieboskłonu;
niechaj się tobą moje źrenice zachwycą,
iżes jest jako marmur i libański heban.

Chór: Już zbiega złotą gwiazdą z północnego nieba,
aby się nim księżniczka nasza nacieszyła.

Oblubienica: Krew niczym wino wzbiera w moich żyłach,
jeżeli pragniesz, to się mną do reszty upij!
Otom drzwi do komnaty, mojej uchyliła,
już się od mej miłości nie wykupisz,
choćby w tysiącu siklów była twoja siła;
długom czekała — niech się żal mój skrupi
na tobie, żem się ciągłym płaczem zanosila...
Zażądam teraz hojnej od ciebie zapłaty.

Z ramion moich i bioder opadają szaty,
nie powiesz, że ci nagle stała się nie miła.
Nie oszczędzę ci pieśczołot najbardziej bogatych,
bym obietnicę daną wypełniła.
Niechaj rozbiją namiot utęsknione swaty,
bym wreszcie razem z tobą rozkoszy użyła.

Chór: Zaklinamy was, o córki, jerozolimskie,
niech ją ominie ramion waszych zamach.

Nie zwódcie jej bogactwem, ni nazwiskiem,
dopóki rozmiłować się nie zechce sama.

Oblubienica: Córki jerozolimskie, jeśli go znajdziecie,
Niechaj uda się za mną w wartki pościg!
Powiedzcie mu, jeśli tylko zechcecie,
że chora jestem z nieukojonej miłości.
Któraż wiadomość o mnie do jego uszu przychyli?
Jest w ogrodzie i pasie swe trzody wśród libańskich lilii.

Oblubieniec: Sześćdziesiąt jest królowych i osiemdziesiąt nałożnic,
ale ona wśród wszystkich wybrana, jedyna.
Zachwycają się jej urodą książęta wielmożni,
każdy pragnąłby uszczknąć z jej ust nieco wina
i pochwalić jej piersi — koźlęta gazeli.
Ale odchodzą i żaden dotknąć się jej dłoni nie ośmieli,
bo już wiedzą komu została przyrzeczona.

Oblubienica: Dla ciebie jedyne są moje ramiona,
nie oszczędzam ci mirry, ni nardu, ni henny...
Gdy odchodzisz ode mnie, w utrapieniu konam,
boś ty jest dla mnie dzień i słońca blask promienny,
w tobie zbawienie moje i ochrona,
tylko tobie poświęcam mój trud całodzienny;
lewica twoja głowę moją podtrzymuje,
prawica twoja jakże czule w pół mnie obejmuje,
tyś tarczą przeciw temu, co złe myśli knuje,
jedyne i w miłości swej niezmienny.

Chór: Zaklinamy was, córki jerozolimskie,
na małe lisy, śpiące w mrocznych jamach,
nie pytajcie, kto jest jej taki bliski,
póki nie zechce opowiedzieć sama!

Oblubieniec: Ileż słodsza jest twa miłość od wina,
język twój źródłem i miodu i mleka.
Spojrzenie twe ostrzejsze, niż pugińał,
wbijający się do serca człowieka.
Opiewać twą urodę będą i po wiekach,
bowiem się nie urodzi podobna dziewczyna,
przypominająca pagórki mirry
i także górę wonnego kadzidła.

Gdy idziesz, uspokajasz rzeczne wiry,
bo awantura ciągnęła im obrzydła.
Spojrzenie twe dotknęło mnie, jak dziryt,
i jużem jest schwytyany w twe myśliwskie sidła.

Chór: Kim jest ta, co się wyłania z pustyni
i woń kadzidła i mirry z siebie wydziela?
Król Salomon w lektyce przegląd swój uczynił,
otaczają go wybrani z całego Izraela,
Tron królewski ze złota i z czerwieni
samym widokiem swych wrogów uśmierca.
Przy nim najpiękniejsza ze wszystkich oblubienic,
właścicielka jego berła i serca.

Oblubienica: Cicho! Oto nadchodzi ukochany!
Podobny jest do młodego jelenia.
Opiera się o mego domu ściany,
a gdy mnie ujrzy, w oczach się odmienia.

Chór: - Oto jest śpiew, od jakże dawna znany,
jako początek naszego istnienia.
Król Salomon nadchodzi ze swymi hetmany
i słońce gaśnie w przedwieczornych cieniach.

Oblubieniec: Jestem, jako ów motyl oszukany,
który skrzydłami dotknął, niebaczny, płomienia.

Oblubienica: A jam jest pokonana przez pana nad pany
i w niewolę odchodzę bez lęku i drżenia.
Jeżeli jeszcze przez was jest nieznany,
nie powierzę wam jego wdzięcznego imienia.
Nie umknę nigdy jego mocnych ramion,
w których mi lepiej, niżli w cieniu aloesu,
nard, szafran, wonna trzcina i cynamon
towarzyszyć nam będą bez końca i kresu.
Nie rozdziela nas, uczuć naszych nie zakłamią
knowania najbardziej podstępnych i złych biesów.

Jest ponad wszystkich wojowników mocen
i więcej wart, niż wojska zwycięskie zastępy;
nie ma lepszych owoców, niż jego owoce,
gdy broczą sokiem w ustach nawet tępych;
jakże szczęśliwa byłam, kiedy wspólne noce
odgradzały nas czujnie od ludzi występnych,
i spadał na nas w północnej pomroce
czar wszystkim innym nigdy niedostępny.

Oblubieniec: O, jakże piękna jesteś w tańcu Machanaim,
gdy chór wyklada swój hołd twej urodzie!
Kto cię królowi samemu narai?
Bowiem tylko monarcha twych wdzięków jest godzien.
Oto się zwierz okrutny w ciemności przyczaił
i ostre kły szykuje ku śmiertelnej szkodzie;
powiedzcie tych strażników nieogłędnej zgrai,

aby go wytropiła, gdy skrył się w ogrodzie.

Oblubienica: Przy tobie się nie lękam najdzikszych morderców,
zdejm pieczęć, ukochany, ze swego ramienia
i połóż ją na moim utęsknionym sercu,
która jest tak potężna, iż śmierć w życie zamienia.
Miłości nie ugaszą wszere rozlane wody,
nie zaleją swym nurtem niezgłębione rzeki.
Nie broń się przed widokiem panieńskiej urody,
nie idź od mnie do swych ostępów dalekich.
Nie znam od jego mowy bardziej śpiewniejszej pieśni
ani sprawniejszych w szybkiej gonitwie goleni!
Jest, jak wysmukła jabłoń wśród gęstwiny leśnej
i jaśniejszy od słońca złocistych promieni.
Gasną przy nim bez chyby młodzieńcy rówieśni,
jak zbroja pozłacana jego wzrok się mieni,
a gdy tunikę na swojej piersi rozedrze,
piersi świecą, jak kute w najprzedniejszym srebrze.

Chór: Nadejdzie wnet, nim panna sen najpierwszy prześni,
i jałmużnę najlepszą z jej ramion wyżebrze.

Oblubieniec: O, jakże piękna jesteś i pełna rozkoszy,
oddech twój jest wonniejszy od najśodszych jabłek!
Spojrzenie twe gołębnie najwdzięczniejsze płoszy,
iż z porównania z tobą wychodzą osłabłe,
- otom przy tobie, jako jelonek przy łoszy,
kiedy mnie uspokoisz, łatwo nie odgadnę.
Chór: Jeżeli się zabłąka wśród nocnych pustoszy,
bez trudu wpadnie w rozpadliny zdradne.

Oblubienica: Nie obawiaj się, ja cię łatwo przeprowadzę
przez szczeliny i góry i groźne przepaście.
Taką od Stworzyciela mam potężną władzę,
że, gdy mówię do jagniąt: „Spokojnie się paście!”,
żadne z nich nie ucieka, wroga się nie boi!...

Chór: Gdy Sulamitę w tej pogoni naścigł,
już musi go wprowadzić do swoich podwoi.

Oblubienica: Wejdź, ukochany, do moich ozdobnych komnat,
abym się nasyciła twą wielką miłością!

Chór: Jakże w rozmiłowaniu jest prosta i skromna
i niedostępna małych ludzi złościom.

Oblubieniec: Uroda innych panien jest przy niej ułomna,
jak małe ptaszę, chcące się piąć ku wysokościami.
Wyżej wznosi się tylko święta góra Karmel,

a włosy jej są niczym królewska purpura.
Niechaj zadźwięczą pieśni w zachwyconych chórach,
niechaj własnym zachwytem całą ją ogarnę;
niechaj rozpocznie się już wiosna, która
wszelkie bogactwo ma nam dać za darmo,
bym ukochaną moją mógł powitać godnie
i aby mną nie mogła w swym gniewie pogardzić.

Unieście nad głowami płonące pochodnie,
niech się pokaże nam wyżej i hardziej,
aby zdumieni dojrzeli przechodnie
tę, która urodziwsza od Libanu bardziej.

Zaklinam was, córki jerozolimskie,
ja, którym nigdy przed nikim nie kłamał,
nie zatrwożcie jej głosem, ani światła błyskiem,
dopóki nie zawoła mnie do siebie sama.

Oblubienica: Pójdź, mój miły, będziemy nocowali w wioskach,
przez które wiedzie droga do winnic Engaddi.
Nie trwóż się i przenigdy się nie troskaj,
bo poprzez nocne mroki dostaniem się, radzi,
tam, gdzie nad nami będzie jeno wola Boska,
której śmiertelny człowiek nigdy nie zaradzi.
Lepiej nam być we dwoje, niżeli w gromadzie,
bo wtedy jest najłatwiej zespolic się w hymnie...

Oblubieniec: Otom został sam jeden, w nocy i na zimnie,
bo ukochana nagle mnie wręcz opuściła
i nikogo już nie było przy mnie,
jakby mogła wystarczyć moja własna siła,
już osłabiona twą nieobecną miłością...
Niech powiedzą bogaci panowie swym włościom,
co są warte, gdy nagła miłość ich opadnie
i otworzą się wtedy stopom złe zapadnie
i nie poradzić wonczas radością ni złością,
gdy się znajdziesz sam z sobą, pojmany, już na dnie.

Oblubienica: Salomon miał winnicę w Baal-Hamon.
Dzierżawa wynosiła srebra cyklów tysięcy.
Jednakże to nie mogło być to samo,
co w tłoczeniu mojego wina — mogę przysiąc!
Bezpłatnie dostarczały ku obskurnym jamom
lisice, które kradły moszcz dla swoich lisiąt...
A także z pól mych znikał szafran i cynamon,
i to już być nie mogło sprawą tylko lisic.

Chór: Spójrz na ukochanego swojego ramiona,
namaszczone są szafranem i cynamonem.

Oblubienica: Ale ta jest dla niego skuteczna obrona,
że miał ramiona swe przeze mnie namaszczone.
Na głowie jego złocista korona,
a dłonie mirrą i henną zbroczone;
iluż to wojowników stoi przed królewskim tronem,
a ilu wrogów od ich broni kona!

Chór: Oczy twe, jak sadzawki w odległym Heszbonie,
a głowa twoja wznosi się, jak góra Karmel.
Niczym liście palmowe twoje smukłe dłonie,
widok twój jest najlepszym dla żrenic pokarmem.
Nos twój jest jako baszta obronna Libanu,
spoglądająca w dal ku Damaszkowi.
Nim się zgodzisz na miłość, dobrze się zastanów,
aby nie powiedziano, żeś z nim w grzesznej zмовie.
Piersi twe są jako dwa kozłeta,
poczęte przez gazelę w największej miłości.
W twoich biodrach sam Stworzyciel chuci swe rozpętał
i w łonie twoim linie urody uprościł,
i jako czasza jest najokrągłejsza,
którą winem korzennym tenże Stworzyciel wypełnił.

Oblubieniec: Choćby ktoś piękność twą złośliwie zmniejszał,
i tak życzenia swojego nie spełni;
czy twa uroda jest większa, czy mniejsza,
i tak zostanie, jako księżyc w swej srebrzystej pełni,
albo też, jako jutrzienka jutrzejsza,
która ziemię uchwyci w swój blask najzupełniej...

Oblubienica: Połóż swą głowę przy mnie, jak na miękkiej wełnie
jagniąt, co się na łące beztrudnie weselą.
Odrzuciłam z mej twarzy kryjący ją welon,
abyś mnie ujrzał w całej mojej krasie;
pośród warg purpurowych me zęby się bielą,
jako perły, złożone na śliskim atłasie...

Oblubieniec: Smaczniejsza jesteś, niżli winorośl i najśłodszy melon,
wciąż piękniejąca równie w dziennym, jak i w nocnym czasie.

Oblubienica: Pójdziemy sprawdzić, czy już granaty zakwitły,
czy silna woń wydaje mądra mandragora,
czy wiosna już gotowa do ostatniej bitwy
i ogrodnik z grzędami wreszcie się uporał.
Nie pomogą na boleść mą żadne modlitwy,
bowiem jestem na miłość nieopatrznie chora...
Księżyc unosi się na kształt skrzywionej brzytwy
i mroczna noc zapada na uśpionych borach.

Chór: Jużemy hołd należny twojej urodzie złożyli,
więc raz jeszcze nas wszystkich swą wdzięcznością uciesz!
Twój ukochany czujnie nad tobą się schylił —
bliskie nieszczęście wróży jego przeczucie,
lecz póki co, używać wam doczesnych uciech,
abyście pamiętali coście na spótkę przeżyli,
niech więc rozbrzmi wam ekstatyczny chorał:
Pieśń nad Pieśniami to — Canticum Canticorum.

Czytelnik musiał zauważyć, że wiersze, składające się na niniejszy tomik, zostały wystylizowane na wzór słynnej „Pieśni nad Pieśniami”, przypisywanej, zgodnie z literacką tradycją, królowi Salomonowi. Kościół dopatruje się w tym utworze zaszyfrowanej treści religijnej, ale na pierwszy rzut oka sprawia on wrażenie pięknej liryki erotycznej i tak właśnie odczytywała to Zuzanna, daleka od jakichkolwiek interpretacji teologicznych. W jej jedynym tomie „O centaurach” można wykryć bez trudu bliskie reminiscencje lektury „Pieśni nad Pieśniami”.

Poza tłumaczeniami prozą (z nich najcenniejsze księdza Wujka) istnieją także transpozycje wersyfikacyjne, czasem wierne, kiedy indziej oddalone od oryginału. „Pieśń nad Pieśniami” pozostawiła swoje ślady również w innych piśmiennictwach; najświetniejszy z nich to wersja wielkiego poety i mistyka hiszpańskiego, San Juana de la Cruz.

Ginczanka była, jak to już podkreśliłem we wstępie, zafascynowana „Pieśnią nad Pieśniami”, więc wiersze jej pamięci poświęcone, musiały znaleźć się w kręgu tej samej konwencji poetyckiej. Wykorzystałem w tych wierszach bogatą metaforę oryginału, wiernie się jej trzymając. Ktoś może się zdziwić, dlaczego pod większością wierszy znajdują się podwójne daty. Tylko dwa wiersze były drukowane w swoim czasie w „Wiadomościach Literackich”, jeden wszedł do tomu „Jarzmo Kaudyńskie”, Wszystkie inne pozostawały w rękopisach, przeważnie uszkodzonych, i po latach, gdy powstała możliwość wydania tego tomiku, uległy przerobieniu, niekiedy zasadniczemu. Stąd te podwójne daty...